



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

WIDENER

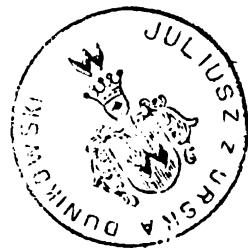


HN AAXY +

Slav 7150.5.140



HARVARD
COLLEGE
LIBRARY





24. XII. 1917.

J. Hauke

PRÓBY ANGIELSKIEJ POEZJI
DRAMATYCZNEJ



PRÓBY ANGIELSKIEJ POEZYI DRAMATYCZNEJ

W PRZEKŁADZIE

JANA KASPROWICZA

* * ROBERT BROWNING: NA BALKONIE * * *

WILLIAM BUTLER YEATS: KSIĘŻNICZKA KASIA



LWÓW

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA

LWÓW — H. ALTENBERG — MCMVII

Slav 7150.5.140

✓

FASL



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



ROBERT BROWNING ❁❁❁

NA BALKONIE

OSOBY:

**NORBERT.
KONSTANCYA.
KRÓLOWA.**

NORBERT. KONSTANCYA.

NORBERT. Teraz!

KONSTANCYA. Nie teraz!

NORBERT. Podaj mi znów ręce —

Złóż je na czole — patrz, jak ono bije!
Do ocz przyciśnij — jaki żar z nich tryska!
O ty najdroższa! ty najdroższa w świecie!
Królowa musi spełnić, o co proszę.
Jakżeż cię osiąść, nie prosząc królowej?
Czekając na mnie, stoi — tam, ty — tutaj;
Raz trzeba prosić, dziś nadeszła pora,
Dzisiaj uzyskam, o co ją poproszę:
O luba, pozwól ją prosić!

KONSTANCYA. Idź, zgub nas!

NORBERT. Nie! teraz, luba! Ma dusza złamana!

Jak ja cię kocham! Ustąp mej miłości!
Człek jedno życie ma i skon li jeden,

Jedno ma niebo i jedno ma piekło!
Niechaj się spełni los mój, daj mi niebo!
Niech widzę dzisiaj i czuję, żeś moją!
Na skroni twojej wycisnę me imię —
Pragnę cię posiadać i potem, jeżeli
Bóg tak dopuści, chcę umrzeć w tem szczęściu!

KONSTANCYA. Czyliż nie twoja? Gdzież twój spokój? powiedz!

Nie jestem jego, ja, co weń się zmieniam,
Ja, której serce jego bije sercem,
Ja, co mu daję te ręce, te oczy,
Te moje włosy — wszystko, co posiadam —,
Tak, że ten duch mój, zmienion w jego ducha,
Zwraca się dzisiaj przeciw mnie, kobiecie,
I nie pozwala, by on się potykał
O lada słomkę, nie chcę, aby światu
Było wiadome, jak on ją ukochał,
A ona jak go uwielbiał! Ty masz ją,
Ale dotychczas nie masz świata. Naprzód,
Idź, mówię, naprzód, nie wstrzymuj się dla mnie,
Nie troszcz się o to, czego ja nie pragnę,
O los wspaniały i o głośne imię.
Imię to ciężyć ci będzie, dla pustej
Dobre parady, więcej dla niczego;
Dobre li na to, by się świat wysłiznął
Z rąk twych i aby zawołał: „O, setki
Koron jest godzien ten człowiek, a nie ma
Wcale odwagi sięgnąć choć po jedną!”

NORBERT. Świat!

KONSTANCYA. Ty go kochasz! Kochaj mnie tak samo!
O to mi jedno nie daj próżno błagać!
Cóż cię obchodzi, co świat wie i myśli?

NORBERT. Błagasz napróżno — o co?

KONSTANCYA. O Norbercie,
Jak ja cię Kocham, serce mego serca!
Ale posłuchaj — albo dłoń tę cofnę —
Mówisz: „nie! teraz!“ Chcesz iść do królowej,
Sześć może kroków iść chcesz i powiedzieć,
Jakeś ukochał mnie! — Tak, Bogu dzięki!

NORBERT. Bogu niech będą dzięki!

KONSTANCYA. Tak, Norbercie!
Radbyś swą wyznać miłość i o moją
Prosić ją potem rękę — Weź tę różę,
Popatrz się na nią i posłuchaj: Pierwszym
Jesteś królowej ulubieńcem, jesteś
Pierwszym jej sługą, i nie bez przyczyny.
Ta noc dzisiejsza wieńczy twoje dzieło,
Na cześć twej pracy jest ta uroczystość
Dzisiaj w pałacu, noc to przepamiętna
Świetnym jej życia tryumfem, albowiem
Dwie dziś na skroń swą włożyła korony,
O czym od wieków dom jej próżno marzył:

Jać się pozwalałam całować, w twej dłoni
Dłoń ma spoczywa ~ a czy wiesz, dlaczego?
Ja ci to powiem: wolno ci całować,
Ponieważ imię masz na dworze, wolno
Brać ci tę rękę i tę, byś ~ gdy zechcesz ~
Mógł na nie wkładać klejnoty. To straszne?
Stosuj to wszystko do królowej, pomyśl,
Żem ja królową, do której przemawiasz:
„Człek bezimienny byłem, tobie, Pani,
Potrzebną była ma pomoc; dla czegoć
Jam ofiarował swe usługi? Piękna
Przy twoim boku stała kuzyneczka.
Dlaczego sprawę twą uczynił swoją?
Nie uzyskałbym inaczej jej ręki.
Trudom mym zbyt oddajesz pochwały? ~
Owszem ~ me trudy stały się zabawką
Z chwilą, gdy na nie spojrzały jej oczy.
Jakżeż te trudy nagrodzi twa wdzięczność?
Daj mi jej rękę!“

NORBERT. Pytam: czy królowa
Jest sprawiedliwą? Jest wspaniałomyślną?

KONSTANCYA. Owszem, jest! Kochasz różę, nic w tem złego:
Lecz czy dla róży, czy z miłości dla mnie
Tulisz do piersi kwiat ten? Dla mnie, rzekłeś,
I zawsze powiesz tak, nie chcący kłamać.
Rzekłeś królowej, że dla niej li służysz,

Teraz utraci wiarę i pomyśli,
Ześ tylko służyć dla siebie. Ja znam ją!
Tu stąd sześć kroków, w sali, ze dwadzieścia
Wisi obrazów; życie tam bujniejsze,
Niż życie samo, przecież to nie życie!
W takim to, pomyśl, czarodziejskim domu
Urodziła się królowa; tu ona
Świat cały widzi, jego dzieje, czyny,
Walki olbrzymów i biesiady bogów,
Mędrców w senacie i piękno w kąpielu,
Bitwy i łowy, wszelką rozkosz ziemi,
Widoki morza, krajobrazy, kwiaty —
Widzi to wszystko w piękniejszej postaci,
Niżby zobaczyć mogła poza ścianą
Swego dworzyszczka. Lecz niech kto przywiedzie
Do tej milczącej galeryi stworzenie
Ze krwi i ciała, obok malowidła
Niech lwa postawi żywego, czyż ona
Pozna się na nim od razu i powie:
„Oto towarzysz lwa, tego z myśliwskiej
Sceny, którego tylekroć sławiła!“
Nie! jej znajomość naszej ziemi, naszych
Trwóg i nadziei, gniewów i sympatyj
Zbyt jest pośrednia, zbyt nierzeczywista.
Dla nas istnieje rzeczywistość, nigdy
Dla niej; jej życie zamknięte w tych ścianach.
Miała i ojca i matkę, a jednak
Nie miała ojca ni matki; przyjaciół

I zalotników miała co niemiara,
I mąż się zjawił w odpowiednim czasie,
A jednak wszystko kłam to był i złuda!
Piękne obrazy — malował je Rubens —,
Gdzie widać dobroć i przyjaźń i miłość,
Wszystko to razem wspanialsze od życia,
A przecież nic to! nie życie! To maski
I suknie barwne, które tam podziwiasz!
Jakżeż to ona odczuje, tak, ona,
Co lat pięćdziesiąt była w tej galeryi
Samotnym widzem? Jakżeż to odczuje,
Kiedy jej naraz przywiedziesz przed oczy
Tę ogniem życia buchającą miłość?
Mniemasz, że przyjmie ją spokojnie? Prawdę
Nasza jest miłość, czyż ona tę prawdę
Pozna na pierwszy rzut oka, odróżni
Od malowanej wierności? Jedyne
Mógłbyś przemówić do niej tak: „My, ludzie,
Na to stworzeni — rzecz ma dużo nazwisk,
Lecz jedno tylko jest prawdziwe; teraz
Bądź sprawiedliwą, królowo!“ Twe życie
Wstecz się potoczy; rzekłszy to, utracisz
Swoją królowę, a i mnie nie zyszczesz.
Ona nie pojmie tego! Mój Norbercie,
Czy nie rozumiesz?

NORBERT. Królowa królową.
Ja zasię jestem ja! Nie żaden obraz,

Lecz żywy człowiek w każdym ścięgnię, w każdym
Nerwie, stojący nad ciżbą ulicy
W oknie pałacu tego, tak jak ona
Przebywa teraz wśród swych malowideł.
Przedrogi jest nam obojgu skarb życia.
Ona nie umie kochać. Cóż mi władza?
Kiedym przed rokiem ujrzał po raz pierwszy
Twoje oblicze, ujrzałem skarb życia;
Głos brzmiał mi w duszy: Życie nic nie warte
Bez tej kobiety! Wszystkie bole świata
Gotówem dźwigać, wszystką jego rozkosz
Zgarnąć i kopnąć, byle tylko osiąść
Ją — tę jedyną! Jakżeż to uczynić?
Byłaś kuzynką królowej — słyszałem,
Więc by cię zdobyć, poszedłem w jej służbę.
Innej nie było drogi. Jeśli była,
Jeśli modłami do jakowejś gwiazdy,
Ciałem i duszą jej oddany, mogłem
Pozyskać ciebie — mów, czyż trzeba było
Modlić się do niej, do tej gwiazdy białej,
Czy nie?... Służyłem królowej, więc innej
Nie było drogi. Spełniałem, co inni
Spełniać się tutaj lenili. Swojemu
Celu nie zdradzała, ona nie pytała.
Żniwo mych działań dla niej, a zaś dla mnie
Wynagrodzenie, tem wynagrodzeniem
Ty, a nikt inny! Jeśli śniła kiedy,
Że to nie może być, więc niech się zbudzi!

Czyżby myślała, że bodźcem mi będzie
Pragnienie władzy, sława, przywiązanie
Do królewskiego jej tronu? Jeżeli
Jej urojeniem było, że dla takich
Pustych majaków poświęcamy życie,
To urojeniem mojem: Pracowałem,
Bom cię pożądał wszystką moją duszą,
Więc też poproszę o twą rękę... Pozwól!...

KONSTANCYA. Gdybym od pierwszej nie kochała chwili,
Nie była twoją, gdybyśmy się chytrze
Tak nie czałli, tak podstępnie, czelnie,
Rozumiałabym niecierpliwość twoją.
Cóż nas obchodzą — tamci? Gdzież ty teraz?
Zanurzony w aktach — — gdzież ja teraz jestem?
Zajęta strojem świątecznym... W uściskach
Myśmy wzajemnych, nad nami dłoń śmierci!
Cóż ci za powód kazał przerwać radę?
By się na chwilę spotkać w kurytarzu.
Potem te sztuczki, wybiegi tajemne,
Skryte umowy, zagadkowe znaki,
Długo, głęboko obmyślane plany
Schadzek, gra spojrzeń: „wie czy nie wie o tem?“
Dobrze, czy źle jest wszystko — co? Rok cały
Takich kradzionych rozkoszy — dziś na nic?!
Chcesz go zamienić na bity, odwieczny
Gościńiec świata, na którym się bije
Albo sprzedaje żony? Tak cię wabi

To jawne jego szczęście, że się wstydzisz
Szczęścia naszego? Cóż zyskasz? To tylko,
Ze się królowa zgodzi, że ci odda
Swoją krewniaczkę, że się tak pozbędzie
I mnie i ciebie i żyć nam pozwoli,
Jak żyje naszych pięćuset przyjaciół.
Świat skrzętną ręką wskaże nam sypialnię
I straż postawi tam, gdzieśmy tak nieraz
Umieli tropy jej zmylić. Tak, słuchaj
Porady świata, spętaj-że sokoła,
Niech obowiązek będzie odtąd rączy,
Jak rączą była dotychczas natura.
Czyż nam, sokołom, wolno li polować
Z ręki? Mężczyzny myśl to, nie kobiety!

NORBERT. Tak, myśl mężczyzny — więcej! myśl to moja,
Który-m jest po to, by cię kochać! Niechże
Wie to świat cały! Godne-m spełnił dzieło
Dzięki miłości, choć ją tamowały
Groble zastrzeżeń, form, choć przymusowa
Wzrok jej ślepiła tajemniczość! Puść-że
Wolno mą miłość, a ujrzysz, co będzie
Z mojego życia, co za czyn się zrodzi!
Z innych powodów spełnia świat swe dzieła —
Pragnienie władzy, sława — oto cele!
Owszem; lecz dzisiaj mój poziomy powód
Niechaj ich górne zawstydzi przyczyny!
Prawda jest siłą! Niechże będzie prawdą

Zycie człowieka! Mą prawdą jest miłość.
Czas to niech stwierdzi! Pragnę, by twe imię
Na mojej wszytkiej widniało istocie,
Przypieczętować chcę je do mej skroni,
Do mojej piersi, do klingi mej szpady,
Do mojej wstęgi, aby świat cię widział
We mnie, by miłość wątła umierała
W obliczu mojej miłości — ze wstydu!
Zgódź się, Konstancyo! Tak długo się miłość
Wzierała w wnętrze, ujarzmiona we mnie,
Że teraz jest już całkiem mną i musi
Znaleźć już ujście! Wspomnij na me dzieło,
Na ten wir intryg, na trwogi, nadzieje,
Na niespodzianki i zwłoki, na długi,
Cierpliwy trud mój, który dzisiaj z drżeniem
Dotarł nareszcie do celu — czyż teraz
Miałby się cofnąć? Zda się, że po śmierci
Przyszedłem znowu do życia — gdyż życiem
Jest to po długich, bezmiłosnych chwilach
Pracy —, że zdążam swobodnie ku Pięknemu,
Gnan wielką żądzą świata, która nieraz,
Spełniając we mnie swe dzieło, pod własnym
Padała jarzmem. Dziś nadszedł ten wieczór —
Patrzaj — ta pierwsza gwiazda — drży tak blisko,
Ze tylko ręką ją ściągnąć; snąc płonie
Pomiędzy ziemią, która się podnosi,
A między niebem, kłoniącym się ku niej;
Przyroda w sobie zamknięta, krzew każdy

I kwiat wszelaki zagłębia się w własnej,
Cichej zadumie — nigdzie wstydu, pychy,
Nigdzie zwycięstwa ani też porażki,
Wszystko, pod władzą Boga, własną miarą
Żywot swój mierzy. Naokół posągi
Stoją w właściwych odstępach: jest siła
W sile i słabość znalazła swój wyraz
W tem, co przedstawia słabość. Muza lirę,
Nimfa ma łanię, a Milczenie różę;
Stwórca spogląda na wszechświat — posłuchaj:
Żyjmy, jak wszystko, w zgodzie z prawdą, wierni
Swym własnym wnętrzom! Krok uczynimy pierwszy,
A w trop się zjawi i drugi — mym pierwszym
Jest posiąść ciebie!... Zagrała muzyka,
Zagrała marsza. — Naprzód! do królowej!
Ciebie zażądam od niej — niech wie o tem
Świat, niech podziwia i bije oklaski!
Życia naszego pęka kwiat, więc dalej!...

KONSTANCYA. Więc mamy zginąć oboje! Norbercie,
Do szpiku kości znam ją, ty jej nie znasz;
Nazbyt dalekoś od niej się urodził,
Byś czuł, co ona widzi, a zaś czego
Widzieć nie może... Jest wspaniałomyślną —
Mimo twojego uśmiechu, — tak samo
Wspaniałomyślną, jak i ty; w tej wątlej,
Troską i bolem strawionej postaci
Rozrzutna żyła dusza i umarła

Z braku żyznego pożywienia. Spójrzj,
Z litością spójrzj na nią, nim rozpocziesz —
Zwyczajem mężczyzn —, ufny w swoje prawo,
Ządać nagrody za przeszłość... Zobacysz,
Jakąć wymierzy sprawiedliwość! Słuchaj:
Tak my, kobiety, nie lubim być dłużne,
Jak wy, mężczyźni, nie lubicie darów.
Przypuść, że jakąś jest nauczycielką,
Zmuszoną w letnich miesiącach doglądać
Zabaw swych uczniów, choć sama się czuje
Wyższą nad płocność dziecinną, gdy z pychą
Wychowawczyni spogląda tak z krzesła
Na życie, słońce, śmiechy, na tę młodość,
Możnać się dziwić, że będzie z ukosa
Patrząc i na nas? Nie budź w niej uczucia —
Trud to daremny, nie ma czego budzić! —
Lecz wzbudź w niej wiarę, że jej sprawiedliwość
Powinna przybrać pozory uczucia,
A wnet zobaczysz, jak ta dusza chłodna
Będzie starała się rozgrzać! Czy sądzisz,
Że ona kocha mnie? Bynajmniej! Jednak,
Mysłąc, iż rzeczą będzie sprawiedliwą
Przygarnąć krewną, wzięła mnie do siebie
I stokroć więcej uczyniła dla mnie
Z tej jednej, marnej przyczyny, niż miłość
Z ważniejszych może uczynić powodów.
Ja jej tym samym nie odpłacę chłodem,
Miłość jej daję, nie mam nic ponadto.

Czuając, że winnam jej pomódz, chcę pomódz!
Ze względu na nią i ciebie powtarzam:
Tak, my, kobiety, nie lubim być dłużne,
Jak wy, mężczyźni, nie lubicie darów.
Jabym w twem miejscu zyskała jej względy —
Na karb miłości złożyłabym wszystko;
Wcale fałszywym nie będąc dworakiem,
Rzekłabym: „czynów moich powodzenie
To ma nagroda!“ I czyż to nieprawda?
Potem, rozkuwszy jej wspaniałomyślność,
Takbym ją, będąc tobą, skierowała
Niepostrzeżenie, że wziąłabym tylko
To, co mi sama raczyła w nagrodę
Oddać — to znaczy, rękę jej krewniaczki,
Najbliższej tronu, będącą niejako
Cząstką niej samej — boć przecie królowej
Nikt się nie waży kochać wprost, a temu,
Kto mieć nie może imienia czy rzeczy,
Echo wystarczy albo cień... Wstążeczki
Jakiejsz poszukaj, którą na swych pierśiach
Kiedyś nosiła, na dowód, jak drogi
Jest ci jej oddech... Powiedz, żem ci blizka,
Że ci się zdaję cząstką jej istoty,
Poproś o rękę moją — wszak rozumiesz?
Ona-ć łaskawie zgodzi się... Lecz jeśli
Zechcesz wymusić od niej, wtedy — — — Pomnij,
Jeżeli w przepaść zepchniesz mnie i siebie,
Tak o niewdzięczność oskarżaj królowę...

NORBERT. Jeśli wybiorę drogę tę, czyż zgoda?
To nie ma droga! Więcej prawdzie ufam!
A jeśli nie chcesz prawdy, juścić chyba
I to, co powiem, zbytnim nie jest fałszem.
Zostaniesz tutaj?...

KONSTANCYA. O serce najdroższe!
Jakżeż ja ciebie kochałam! Więc teraz
Moją wybierasz drogę? Jesteś moim
Teraz ministrem, jak jej byłeś przedtem,
Myśl wykonujesz moją, plan mój słaby
W dzieło przemieniasz silne i skuteczne?
Pomnij: zawdzięczam tej zwiędłej kobiecie
Wszystko — me życie, szczęście, ciebie! Pomóż,
Bym się jej mogła odplacić! Na swoim
Chcesz się opierać prawie i zabierasz
Z sobą mą różę, me ręce, me serce?
Twe prawo mojem, moje li masz prawo!

NORBERT. Pozostań tutaj... Jak ty znasz mnie!

KONSTANCYA. Przecież — —

(Norbert wyrывa się z jej objęć; ona pozostaje. Z wnętrza dolatują dźwięki muzyki tanecznej. Wchodzi KRÓLOWA.)

KRÓLOWA. Konstancyo! Tutaj — tak, jak on powiedział...
Mów, czy to prawda? Powiedz bez ogródki!

KONSTANCYA. Prawda.

KRÓLOWA. O dzięki! Matko, łaski pełna!...

KONSTANCYA. Pani!...

KRÓLOWA. Konstancyo! Kocham z całej duszy!
Kocham cię — powiedz: prawda to? tak prawda,
Jak ja tu mówię z tobą?

KONSTANCYA. Czemu wątpisz?

KRÓLOWA. A! czemu wątpię? daj mi się w tem wszystkim
Naprzód rozeznąć... Takimi ty na to
Patrzysz oczyma? Nikt się sam nie widzi,
Inni go widzą lepiej... Czemu wątpisz?
Tak ty się pytasz? Wszakże widzisz jego
I mnie... Najświętsza Matka łask posiada
Tyle, że — gdyby nie zbrakło nam wiary,
Której nie mamy — miałby człowiek wszystko,
Czego pożąda; lecz nasze wybryki
Płodzą w nas rozpacz, tamują nam wolę —
I, tak żyjący, sami się od siebie
Odprzysięgamy — — Jam się odprzysięgła
Dawno, Konstancyo, od wszelkiej miłości
I od nadziei wszelkiej, jak ta palma,
Co z tego miejsca tu nie ujrzy nigdy
Łanów egipskich...

KONSTANCYA. Nieba!

KRÓLOWA.

Tak to było,

O tak, Konstancyo! Oto ludzie mówią —
Może nie ludzie, nie, a tylko mary: —
„Ku zachodowi kloni się tve życie,
Już postwiałaś — stój! ni kroku dalej! —
Już to za późno dla ciebie, dziewczętom
Pozostaw miłość, zostaw ją Konstancyi,
Ty bądź — królową!“ Człek zna tę wskazówkę —
W połowie drogi chwyta ją, jak dziecko,
Wstyd go ogarnia, jeśli się w nim zbudzi
Jakowy opór... „Miłość!... O miłości
Przestań już myśleć! Królową-ci jestem,
Rządy mi dźierzyc, nie kochać, zaprawdę!“
I tak te lica stają się takimi,
Jak są, tak włosy bieleją, tak ręce
Więdną, jak moje — wtem — — o nie! Nie taki
Ma być mój koniec — — dzięki Bogu!

KONSTANCYA.

Pani — —

Ja nie rozumiem — — —

KRÓLOWA.

Ty — szczęśliwa!... Nie wiem,

Jak jest dla mężczyzn, ale dla nas, kobiet —
Konstancyo, jestem, tak jak ty, kobietą —
Jedyny tylko skarb jest w życiu: miłość! —
Wszystko, co skarbem się wydaje, będzie
Jedynie cieniem miłości; pozłotę
I wszelką wartość daje mu li miłość.

Ze mnie bierz przykład, nigdy nie łudź siebie,
Miłości żądaj, miłością obdarzaj,
Bo wszystko inne jest fałszem. Konstancyo,
Jak ja cię kocham!...

KONSTANCYA. I ja ciebie kocham!

KRÓLOWA. Wiem, za twą sprawą tak się wszystko stało...
Pragnęłam serce swe ogrzać, gdy wszystkie
Ślady miłości zamierać się zdały,
I wnet do serca przytuliłam ciebie...
Twa młodość świeża — taką miałam wiarę —
To starzejące rozgrzeje mi serce.
O, stara jestem — nie?! O nie, to prawda
I prawdą musi pozostać!...

KONSTANCYA. Opowiedz,
Niech ja rozsądzę, prawda to czy kłamstwo.

KRÓLOWA. Lękam się ciebie! Powiedz, patrząc na mnie:
„Stara, bez wdzięku, mężczyznom potrzeba
Wdzięku!“ To klątwa moja! Ja-ć to czuję!

KONSTANCYA. O bądź spokojna! — — — teraz, mówisz Pani,
Nie jesteś pewna?...

KRÓLOWA. Zbliżył się, Konstancyo —
Cóż w tem dziwnego? — — czyliż nie widziałam,
Jak się mężczyźni zbliżali, by odejść?
Przelotne rzuciłam spojrzenie
Z mojego dziem jak marmur stała.

„Jeden młodzieniec więcej! Już cię pewnie
Pokochał jaką dziewczynę — — nie dla mnie!
Na cóż mu moja godność marmurowa?”
Lecz teraz — czułam — coś jest straszniejszego.
On, jak Bóg jaki, piękniejszy i młodszy,
Ja coraz starsza. — Dwa to przeciwieństwa,
Co wzajemnego szukały zetknięcia.
Jeszcze mi gorzej było, gdy nasamprzód
Roztrząsać począł sprawy państwa — myślę:
Zwykła to droga — dla własnych korzyści.
Ach! żyć tak ciągle w kole serc tysięcy,
Tych ócz, tak czujnych, tych rąk, tak gotowych
Na twe usługi, tych warg które głoszą,
Że li dla ciebie żyją, że li tobie
Spieszą z pomocą, że ciebie kochają,
Ciebie, co jesteś jak posąg z marmuru,
Który czczą, wielbią ponad własne życie, —
I równocześnie widzieć, jak cię każdy
Dla pierwszej lepszej porzuca twarzyczki,
Dla pierwszej lepszej tancerki, śpiewaczki,
Albo piękności ulicznej!... O Boże!
Jakżeż ja, biedna — zaciskałam zęby,
Słyszac mężczyzn, szepczących, by moich
Nie razić uszu zbyt głośną rozmową,
Tłumiących kroki, by mi nie przeszkadzać,
Mrużących oczy z wielkiego szacunku,
Z gotową zawsze ręką, aby bronić
Takiego skarbu królewskiego — przecież

Nikt nie poskoczył ku mnie, nie przemówił,
Nikt miłosnego nie napisał listu,
Nie pocałował ręki jako ręki!
Ach, były chwile, że chciałam, ażeby
Żołnierz, stojący na warcie, nie składał
Swej halabardy na me powitanie,
Na powitanie królowej — pragnęłam,
Aby ją rzucił precz i do mych kolan
Przypadł. — O, wierzaj, byłabym stanęła
I całowała!...

KONSTANCYA. Któżby to mógł przeczuć?!

KRÓLOWA. Ah! Któżby przeczuł, kto?... Nie ty, Konstancyo,
Nie ja, — nikt inny na świecie, on tylko!
A może to już za późno? — Mów prawdę!

KONSTANCYA. Czekam —

KRÓLOWA. Tak, przyszedł, zgasił wszystkich, dzieło
Spełnił przedziwne w tym roku, równego
Nikt nie dokonał — — wiesz, nie mówięć sama,
Wszyscy to mówią... I — ból w tem jest drugi,
Jeszcze straszniejszy. — Widziałam, że spełnił
Nie tylko wielki czyn, lecz i dlaczego.
Nikt dla samego dzieła nie dokonał
Dzieła takiego — inny cel go nęcił!
Czułam, widziałam, że kochał — lecz kogo?

Czasem, Konstancyo, tak mi się zdawało,
Że kocha ciebie!

KONSTANCYA. Mnie, pani?

KRÓLOWA. Widziałam,
Tak mi się zdało, że szuka twojego
Wzroku. Bo kogóż mógłby tak ukochać,
Jeśli nie ciebie? Ty, tak mi się zdało,
Wiesz, że cię kocha, że się odwzajemniasz,
Że między wami jest porozumienie.
Gdyś do ogrodu szła lub na ten balkon,
Byłam zmuszona uwierzyć w tę prawdę.
Tak mi to słusznem, pięknem się zdawało
I tak obojga godnem, iż swe dzieło
Spełnił nie w gminnej nadziei nagrody,
Ale że kiedyś, nocą, tak jak dzisiaj,
Stanie przede mną i powie: „Zapłaty
Żądam, królowo, oddaj mi jej rękę!“
I ja — Konstancyo, powinnaś mnie kochać —
Ja, przytłumiwszy wszelką gorycz w sobie,
Rzeknę: „Tak stań się! Uczynię szczęśliwym
Ten kwiat młodości mojej, tę kobietę,
Co kobiecością jest moją, co we mnie
Powinna była być szczęśliwą — niechże
Dziś się radują! Ja zostanę sama“.
Tak, tak!...

KONSTANCYA. O dzięki!

KRÓLOWA.

Drżało już na wargach

Moich to słowo, gdy stanął przede mną.
Jużem mniemała, że będzie spokojnej
Żądał zapłaty za swój czyn, gdy — nieba!
Jakżeż tu wyznać!... Chmura przysłoniła
Wzrok mój na pierwsze jego słowo — piorun
Uderzył w uszy moje: czynił wszystko
Z miłości ku mnie! Mnie on jedną kochał,
Kochał od pierwszej do ostatniej chwili!

KONSTANCYA. Dobrze słyszałaś, pani? O miłości
Mówił do ciebie? Może to pomyłka?

KRÓLOWA. Nie, nie pomyłka! Ha! Tu być nie może
Żadnej pomyłki! On nie miał odwagi
Wyznać, co czuje! Ty — tak mówił do mnie —
Jesteś odbiciem mojem — jakżeż ja to
Dobrze pojęłam! — ty jesteś tą wstęgą,
Którą nosiłem na piersiach... I ręce
Całował moje, spoglądał mi w oczy —
I — miłość, miłość — oto jego słowa
Treść! — I — z miłości wielkie poszło dzieło!
Reszta żadnego nie wymaga trudu!
Konstancyo, jestem twoją! W tobie złożę
Wszystko me życie, ale ty mię naucz —
Chcę się nauczyć, — jakże mi zatrzymać
To, com zdobyła! Czyż jestem tak stara?
Wcześniej poświęcał włos mój, ale szczęście

Nieraz wróciło włosom dawną ciemność,
Obliczu dawną krasę — ja to czuję!
Śpiewać umiałam niegdyś, w dawnych latach;
Mówiono nieraz, gdy mnie malowano,
Że jestem piękna — powtórzył to kiedyś
Malarz francuski!... Wiem, że to pochlebstwo —
Ale tyś szczerą — wierzę ci! O jakże
Ja cię kochałam od razu! Zapewne
Żadna królowa nie wzięłaby sobie
Takiej krewniaczki, któraby jej kradła
Żrenice wszystkich. Dobrze ja to czułam,
Ze z ciebie spłynie wszelkie na mnie dobro.
Wspaniałomyślna nie jestem bynajmniej
Jak ty, jak Norbert... Lecz on cię nie kocha,
On nie na ciebie patrzył... Czyś ty za nim
Strzelała okiem? Płonnieś tłómaczyła
Jego spojrzenia i słowa... On mówił,
Że jesteś mojem odbiciem. A zresztą —
Juścić on nie jest jedynym li wzorem
I ostatecznym dla ciebie i wielu
Innych niewiastek młodych, które mogą
Wybierać z pośród tysiąca Norbertów.
Powiedz mi prawdę! Jegoś mi nazwiska
Nie wymieniła nigdy — wiesz to i wiesz równie,
Ze go się wyrzec nie umiem — ach Boże! —
Nawet dla ciebie!...

KONSTANCYA. Uspokój się pani!

KRÓLOWA. Spójrzyj: jam stara! o dziewczę szczęśliwe,
Ja nie chcę sama siebie okłamywać —
Wszystko minęło! Przyłóż swe policzki
Do mojej twarzy — ach! jakąż ten księżyc
Widzi różnicę! Lecz ja życie swoje
Rzucam na szalę, na ostatnią szalę,
Lecz i najlepszą! Czyliż w grze tej ginie
Ta moja dusza? może ja? Kobiety
Wszystkie kochają wielkich ludzi, młode
Albo i stare: tak jest w opowieściach.
Młode piękności kochają się w starych,
Siwych poetach, czemużby on nie miał
Kochać poezyi mej duszy? Miłości
Namiętnej, wiary stałej, poświęcenia?
Do stóp mu rzucę to wszystko! A któżby
Dociekał kształtów prawdziwych fontanny
I gdzie ten tryton, pytał, gdzie ta nimfa,
Rozpieniająca wodę w cudne tęcze?
Nie będziesz pustej konchy wielbicielek —
Lecz ja rozleję strumienie miłości,
Sama się skrywszy; jakżeż ja go będę
Kochać! Mężczyzna czyż nie umiśnie
Miłości? Powiedz, nie byłoż królowej,
Która kochała poetę-kalekę,
Karła? Kobiety zdolne są do tego!
Lecz i mężczyźni — przynajmniej tak twierdzą.
Młodzi, niejedną kochają kobietę,
Gdy postarzeją, kochają się również

W tych, którym mogą się podobać; przedsię
Mówią najlepsi z nich, iż nie piękność
Nadaje trwałość miłości — co dzisiaj
Słodkie, to jutro cłliwe: duszę, mówią,
Warto miłować, wyobraźnię, wreszcie
Kochają nowość... Trzeba wyznać prawdę,
Chociażby była strasliwem przekleństwem —
Oni kochają królowę, kochają
I chcą ją kochać — — On czyżby nie kochał?

KONSTANCYA. Jakże on kochać może — zaślubioną
Komu innemu? Prawda, czy to związek,
A jednak wiąże... Pomnij-że na własną
Godność, na godność jego! W jakiż sposób
Ten wielkoduszny człowiek — a nie myślę
Przeczyć twej wierze, iż jest wielkoduszny —
Mógłby pozostać twoim faworytem
Na wstyd i hańbę wszystkich? —

KRÓLOWA. O, słuchajcie,
Co ona mówi! Umiałażby kochać
Tak, jak ja Kocham? Czyż to ja mówiłam
O krasolicej młodości? Popatrzcie,
Co to być może! Jak to młodość kocha!
Powiedz-że jeszcze, że nigdybyś tego
Nie uczyniła, co ja chcę uczynić —
Że ci to nie jest wrodzonym! Chcę z drogi
Wszystkie usunąć przeszkody, jak miesiąc

KONSTANCYA. Rozważę sobie... Zbyt to wszystko dziwne!

KROLOWA. Ucz się ode mnie, Konstancyo! Postępu

Jak ja; wszak jesteś młoda, piękna! Dziewczę

Moje jedyne! Wielu starających

Będziesz ty miała, pokochasz jednego —

O jasnych włosach, nie jak włos Norberta,

Okazalszego, niżli on, boś sama

Jest okazała! Jak mnie, tak go kochaj!

Nigdy o sobie nie myśl, rzuć swą dumę,

Nadzieję, trwogę, rzuć swe wszystkie skarby,

A tylko jego kochaj dlań samego!

Pamiętaj o tem, że ja — cóż ja, dziewczę,

Jestem dla ciebie? — oddałabym wszystko,

I tron i życie za tę jego miłość — —

Tak, on mnie kocha!...

KONSTANCYA. On cię będzie kochał!

KRÓLOWA. Do mego serca głębi wejdź, swe serce

Daj mi, bądź jednym sercem z mojem sercem!

Pragnę twej rady: To mi on powiedział

I to uczynił; jak to sobie cenić?

Ileż w bieżącej waży to monecie?

Czy to całunku warte? Czy mu uledez?

O tobie innym pomówimy razem,

O twej miłości, godnej twej urody,

Bo posiąść winnaś miłość, jasną, złotą —

Kogo wybierzesz? Wybieraj dowolnie!

Teraz, Konstancyo, żegnaj! Przed chwileczką
Zdawało mi się, że mi umrzeć trzeba,
Albo się zwierzyć takim, jak tve, uszom.
Chciałabym teraz spojrzeć w lice świata
W mem nowem życiu i w nowej koronie.
Pójdę po sali przejść się, potem wrócę,
By ci powiedzieć, co czuję. Jak prędko
Może świat zmienić uśmiech Boga! Jakże
Myśmy stworzeni do szczęścia, jak praca
Staje się miłą zabawką, przeciwność²³₂₄
Zwycięskim bojem! Tyle lat straciłam!
Coś mi zostało; Bóg jest dobrotliwy!
Czekaj tu na mnie! Tak to niepodobne
Do snu, do szczęścia, które sobie tylko
Umie w spokoju marzyć nasza dusza,
Jak niepodobne są do krwi i ciała
Wszystkie te wokół posągi! O boski,
Drogi księżycu, jakżeś mnie pocieszył!
(Odchodzi, pozostawivszy Konstancyę. Z wewnątrz taneczną slychac²⁵ mu-
zykę. Wchodzi Norbert.)

NORBERT. Jedna nam tylko pozostaje chwila
I jedno słowo!...

KONSTANCYA. Norbercie, jam twoja!

NORBERT. Moja!

KONSTANCYA. Nie byłam dotąd... Tyś był moim —
Teraz oddaję ci siebie!

NORBERT.

Konstancyo!

KONSTANCYA. Jam cała twoja!... Znam-ci może skąpszą

Drogę dawania, ale rozsądniejszą:

Z myślą, że daję cały skarb, mogłabym

Grosz ci po groszu rzucać — jakby każdy

Grosz był już wszystkim i jakby ta hojność,

Coraz to większa, mogła wszelką tłumić

Rozpacz — i zmusić ciebie, byś przyjmował,

Póki się nasze nie wyczerpią role —

Moja dająca i twoja biorąca,

Póki nie zamrze nasza zobopólna

Radość... Czyż droga ta jest rozsądniejsza?

Wybieram prostsza, dając ci od razu

Wszystko. A teraz wiedz, czemu masz ufać!

Używaj skarbu tego, nadużywaj,

Lecz nie myśl potem: „gdybym to był wiedział,

Jak mnie kochała i jaki posiadałem

Wielki dobytek, byłbym był szczęśliwy!”

To twe bogactwo. Daję ci się cała —

NORBERT. Biorę-ć i Bogu dziękuję...

KONSTANCYA.

Zwróc oczy

W przyszłość. Nie będzie nigdy dnia całunków

Takich, jak dzisiaj, lub ziemia przestanie

Być ziemią.

NORBERT. Z żarem tego dnia przejdziemy

Przez lata chłodu.

KONSTANCYA. Tak. Chciałabym spojrzeć
W te lata przyszłe — myślę, że je widzę:
Szybko ty dążysz przedsię, nowe budząc
Zary; spoglądasz wstecz i wszystkie ognie
Temu pierwszemu poświęcasz żarowi;
Nie spocznesz chwili, myśląc nieustannie
O dniu dzisiejszym, aż zbieleje skrawy
Popiół i miłość zagaśnie: Tak, miłość
Żywa jest tylko w swych czynach, i moja,
Żyjąca własną pełnią życia, pragnie
Zyć tylko w tobie.

NORBERT. Słusznie. Znam cię teraz
I biorę całą. Przede mną twa dusza
Tak odsłonięta, jak tve serce. Znam cię!
Nie skąp mi czasu! Niechaj moja дума
Pomyśli sobie, że i jam ci znany.
Mniej lotna dusza jest moja; całego
Trzeba mi życia, ażeby ogarnąć
To, co ty chwytasz w minucie; ja muszę
Całe zataczać koło w okrąg ciebie,
Chcąc sprawiedliwość ci wymierzyć, patrzeć
Na całe, długie życie, by roztrząsnąć
Tę jedną chwilę i zbadać jej wartość.
Długi ciąg iskier pokaże ci w końcu,
Jaki w tym głazie, krzesanym przez ciebie,
Skrywał się ogień: jakżebyś go mogła
Znać, gdyby leżał niewypróbowany

Zadnem krzesiwem, tak, jak teraz moje
Leży przed tobą serce? Jest-li zimny,
Zar twój pochłonie jego chłody.

KONSTANCYA. Powiedz,
Jak wypróbować?

NORBERT. W mojem życiu — pytasz?

KONSTANCYA. Prędko, Norbercie, — jak to czynić? Powiedz.

NORBERT. Łatwo powiedzieć. Materyą jest dla mnie
Zycie, na której próbujemy duszę,
Aby pokazać, że się jest mężczyzną.
Wszystko do celu swojego nagina,
Kto ma przed sobą cel. Rzucając lancę
Lub też gromadząc kamienie, próbujesz
Siły, tak ja też chcę pokazać wszystką
Tęgość mej duszy, byś ją uwieńczyła
Jako swą własność i by życie nasze
Miało swe prawo...

KONSTANCYA. Gdybyś umiał pisać
Książki lub tworzyć malowidła! W biedzie
Tworzy poeta czy malarz i patrzy
Z wielką litością na bogaczy!

NORBERT. Kocha
Obraz czy księgę, nie kocha kobiety!
Wierzaj, najlepiej tak, jak jest — że myśmy

Tem, czem jesteśmy. Zyjemy, a oni
Tylko badają życie, ci poeci
I ci malarze, którzy na bieg rzeczy
Patrzą z wyżyny. Lepiej nam pozostać
Tem, na co patrzą tamci! Powiedz: poco,
Komu opiewać miałbym czy malować
Twoje oblicze? Powietrznych okręgów
Błada władczyńi poco z swym posępnym
Żywi uśmiechem ziemską krwią swą widmu
Podobną postać dla piękna Zywota,
Którem pogardza? Tyś moja! Ty dla mnie
Jesteś stworzona, dla nikogo więcej!
I nie dla tego, cobym nazwał sztuką,
Chłodną, spokojną potęgą patrzenia
Na twoją piękność... Ty i ja — jesteśmy!
Niech nas maluje Rubens!

KONSTANCYA. Tak, najdroższy!
Znam twoją duszę! Żyjesz, kochasz życie,
Czyn, powodzenie, siłę!

NORBERT. Droga prosta;
Czas nazbyt krótki, bym zmieniał rzemiosło,
W które-m się wprawił w mych latach dziecięcych:
Niechaj mi teraz służy! Tutaj ludzie
Miejsce mi dali, ażebym ujarzmił,
Użyźnił ugór życia, zebrał owoc,
Nasamprzód dla nich, potem i dla siebie
Wziął dziesięćcinę: zadanie mężczyzny,

Którego ludzie wezwali do dzieła.
Nie jestem twórcą, na mem czole żadna
Nie świeci gwiazda, coby im wlewała
Wiarę w mą siłę; jestem tutaj na to,
Ażeby skupić i popchnąć ich wolę.
Takem rozpoczął, a noc ta pokaże,
Jaki mój będzie koniec. Cóż, gdy ujrzę
Ten żar i miłość moją i ten serca
Mojego poryw, co kieruje głową!
Cóż, gdy lud dzisiaj nareszcie zobaczy
Ten świt mej drugiej natury, gdy nowy
Stanie przed nimi człek, którego wolę
Chcą stawić w miejscu swojej woli? Człowiek,
Który, posiadłszy ich ufność, ma nową
Ku wyżom wskazać im drogę, dotychczas
Widną li jego oczom? Dziś tom uczuł
Przy tym całunku. Patrzaj: ta królowa,
Ten lud — ta masa, jak ją nazywamy —
Patrz, jak ta masa poddaje się biernie
Tej mojej ręce, jak ta ręka moja
Staje się twórczą, a ty jak ustalasz
Moje muskuły!... Tak! Koniec uwieńczy
To moje dzieło!... Moim lud ten będzie!
Widzę, jak garncarz pora się z swą gliną,
Widzę wysiłek, patrzę na zmaganie,
Ale i skutek widzę: wyrób ducha,
Czarę, zrobioną dla ust bożych, czarę,
Naokół której — widok to dla ludzi

Lichszych przepiękny! — szumne tańczą gracje,
Z serdecznym śmiechem oklaskując dzieło...
Tak się mój tryumf będzie wciąż odnawiał,
Coraz to wyżej cel mój zmierzać będzie,
Coraz to szybciej — — —

KONSTANCYA. I z moją pomocą?

NORBERT. Tak!...

(Uścisk wzajemny. Podczas tego wchodzi królowa.)

KONSTANCYA. Szał królowa!... Skończyłam swą rolę!
Widzisz więc waszmość, jak wielce na miejscu
Jest twoja wdzięczność! Co prawda, to widzisz
Niecóż za późno. Zaczynaj więc i skończ wasć
Jako najprędzej! Co jest pocałunek?

NORBERT. Konstancyo!

KONSTANCYA. Mamże uczyć was na nowo?
Świadców wam trzeba dla waszej tępości?
Cóżem wam rzekła temu dziesięć minut?
A więc powtórzę: Pewien młody człowiek,
Który wielkiego, tak, jak wasć, dokonał
Dzieła, miłością spłonał ku kobiecie,
Tak beznadziejnie wysoko stojącej
Nad nim, że sama o tem myśl, jak mówi,
Zdolna o szal go przyprawić; lecz, mądry,
Umiał-ci w pewnej, jak ja, pospolitej,

Lecz dobrej duszy znaleźć przyjaciółkę
I powiernicę, niby taran jakiś,
Co go zasłania przed tą, w której oczy
Nawet i spojrzeć nie śmie; a gdy wreszcie
Cel swój osiągnął — waszmość to rozumie? —
Gdy ta wybrana, w której oczy nawet
I spojrzeć nie śmiał — jak się okazuje —
Umiłowała go pierwsza — nieprawdaż,
Mościa Królowo? — gdy swój najzuchwalszy
Urzeczywistnion widzi sen, gdy wszyscy
Godzą się na to, przedsię przyjaciółka,
Której się zwierzył, a która to dzieło
Doprowadziła do końca — w tej chwili
Wielkiej radości, mniemam, że prawdziwy
Nie zechce szlachcic tak od razu kopnąć
Swego tarana, nie zechce mu szorotko
Powiedzieć: „Odejdź! Mam już dosyć ciebie!”
Nie! nie odwróci się od niego w sposób,
Męża niegodny, lecz, jak na szlachetne
Przystało serce, powie: „Przebyliśmy
Bolesne chwile nadziei, śród lęku
I drżenia serca długośmy czekali
Na swą zapłatę; powiernica moja,
Konstancya, nie źle służyła! A chociaż
Wnet ją zapomnę, jak każe rozsądek,
Jak ona sama — dziś, gdy jej usługa
Wydała owoc — domaga się tego,
Jej przecież pierwsza należy się dzięka,

Pierwszą zapłatę godzi się dobremu
Oddać narzędziu — niech ma ten dziś pierwszy,
Lecz i ostatni pocałunek“...

NORBERT. Sen to?

A! ty się śmiejesz, Konstancyo!

KONSTANCYA. Szczęśliwie

Skończyła jego się rola... Królowo!
Teraz się zwracam do ciebie i kończę,
Jako przystało, i moją. Tak, pani!
On kochał ciebie zacie i od dawna;
Nie miał odwagi, aby ci to wyznać —
Ja mu ozwałam przystęp do twej duszy;
Ja myśli jego, chodzące drogami
Czarnej rozpaczy, zwodziłam na tory,
Którymi kroczy miłość do swych celów.
Dosyć! ma rola skończona! Ty, pani,
Wyszłaś naprzeciw nas i po królewsku —
Godne to ciebie — rozwiałaś w tej chwili
Wszelaką trwogę. On ci wdzięczny za to,
A i ja również... Bierz go — całym sercem!
Koniec me dzieło chwali... Tak, szczęśliwi
Bądźcie oboje! Ty jedna na świecie
Możesz uczynić dlań wszystko, o, więcej,
Niż jakieś serce, które, mimo swego
Ciepła, mniej warte znacznie od jedwabnej
Sukni królowej. Spraw, iżby w jej fałdach

Było mu dobrze i miękko... On zasię,
On wie, co czynić. —

NORBERT. Skończyłaś? Rozumiem
Zart twój. Czy teraz kolej na mnie? Twój to,
Konstancyo, dziewczę szalone, był zakład?
Czy tylko tyś go podjęła? Ej! dobrze!
Zda mi się, przegrasz!

KONSTANCYA. Pani! Teraz kolej
Przyszła na ciebie. Powstrzymaj go chwilę,
Niechaj nie mówi, aż się nie uczuje
Pewniejszym siebie i szczęśliwszym! Pani!
Zlituj się nad nim! On się jeszcze lęka!
Opanuj-że się, Norbercie! Jać wszelkie
Do ciebie prawa oddaję królowej!
Przy niej dokonuj swoich czynów wielkich,
Pospieszaj drogą, która w innym razie
Będzie dla ciebie zamknięta. Bądź wszystkim,
Czem tylko możesz być przez nią! Spojrz na nią!
Na miłość Boga! Pani! Racz otwarcie
Rzec mu, że kochasz, inaczej on nigdy
W to nie uwierzy. Daleko trwożliwszy,
Niżeli mniemasz; znam tego męczycznę.

NORBERT. A ja co nieco znam-ci tę kobietę!
Myślałem przecież, że umie żartować
Troszeczkę lepiej; zaczyna w swej roli

Nazbyt przesadzać. Czekam twojej łaski...
Gdzież ma nagroda, królowo?

KRÓLOWA.

Norbercie!

To dziewczę dzikie — ledwie je poznaję;
Widząc ten wybuch szału, tę wrażliwość
I te przeskoki, słysząc te dziwaczne
Słowa — nie mądre jest i zbyt zuchwałę —
Chociaż to wszystko dziwnie odpowiada
Dziwom tej nocy — lecz ma słuszność... Teraz?
I ja przemówię, w rzeczywistość zmierzając:
To, co mi snem się wydało. Norbercie,
Ta cześć i miłość dla mnie, którą wyznał,
Nowego we mnie nie wzbudza uczucia;
Potwierdza tylko dawne moje żary!
Mówię: kochałam cię od pierwszej chwili —
I, rzecz to dziwna, silniejszą się czuję,
Rzekłszy to wszystko. Podporą dla mojej!
Jest twa odwaga! Dobrześ to uczynił,
Żeś mi powiedział to dzisiejszej nocy,
Wieńczącej trud twój dwunastomiesięczny:
Lecz mnie nie trzeba było aż tak długo
Czekać, by poznać twą duszę. O, wierząc,
Od pierwszej chwili jasnym było dla mnie
Źródło twojego zapału, nim jeszcze
Prawdę mi twoje objawiły słowa!
Dziwne to wszystko, lecz szczęście się kończy
Miłością twoją, która się spotyka

Z moją. Niech będzie! jeśli ty mnie wybrał,
I ja wybieram cię...

NORBERT.

Wasza miłość

Wybierze godnie — nie chcę być niegodnym
Twojego, pani, szacunku. Poznawszy
Twój sposób, pani, idę mu na rękę.
Masz prawo, pani, do takiego kroku,
Lecz na tę próbę ten li się zdobędzie,
Kto ma szlachetne serce i kto wierzy
W moją szlachetność... Raduję się wielce,
Żeś doświadczała mnie, nim zezwoliłaś,
Bym w swe ramiona wziął najszlachetniejszą
I najpiękniejszą z kobiet: ona, pani,
Równa jest tobie. Tak, by znów powrócić
Do słów mej roli, najgłębszy szacunek
Zywię dla ciebie, miłościwa pani,
Ale nie wzbudzasz we mnie tej miłości,
Co ma Konstancya. Lub — że dam swym słowom
Dramatyczniejszy wyraz — nie ta pyszna,
Wonna magnolia wabi liqhy owad —
To znaczy, mnie — lecz ta przyziemna,
Skromna stokrótka... Tę wybieram damę...

KONSTANCYA. Stój! — tę zasadzkę nie ona — — — Norbercie,

Stój! — najstraszniejsza byłaby omyłka — —

Jaki on chytry, pani!... Ja Norbercie —

Ja — —

NORBERT Ty, Konstancyo?... Gdyby nie ta chwila

Tak przewspaniała, niebiańska, co dzisiaj
Daje mi ciebie, nie umiałbym nigdy
Przebaczyć tego!... Królowa — należą
Do niej — zna tylko mózg mój, więc jej wolno
Było doświadczać mego serca, sam jej
W tem pomagałem... Ale ty, najśłodsza,
Co mnie tak dawno znasz, co tyle razy
Liczyłaś bicie mego serca, w białych
Trzymałaś rękach me życie — — nie dobrze,
O, to nie dobrze!

KONSTANCYA. Sza! Czyż nie mówiłam —

Dla niej to życie jego, dla niej serce — —

NORBERT. Dosyć!... Rumieni się ma twarz!... Od ciebie

Wyszła ta próba? Najłichszej kobiety,
Którejś nigdy nie umiał pokochać,
Nie obraziłbym — gdyby, mnie kochając,
Pragnęła moją wypróbować miłość, —
Jak ty obrażasz dzisiaj mnie! Jeżeli
Byłoby trzeba, mógłbym ci powiedzieć:
„Zabierz swą duszę, ja zatrzymam swoją!“
Ale tak — nigdy: „Duszę, która jeszcze
Drży w twoich ręku, duszę, już mi zbędną,
Oddaj któremuś z wesołych przyjaciół
Za jakąś — nie wiem, za jaką zapłatę!“
Miałbym — tak igrać z kobietą, ażeby

Zabawić kogoś z mężczyzn, by się śmiało
Dwóch z tego serca, jeśliby uległo?
Póki się Boga boję, póki żyję
Pod jego niebem, nigdybym w ten sposób
Nie mógł obrazić kobiety, chociażby
Najłichszą była na świecie, a człowiek,
Któremu taką świadczyłbym przysługę,
Wart był dziesięciu cesarzy!

KONSTANCYA.

Norbercie!...

NORBERT. Raz li kochałem i raz tylko żyłem!

Cóż o tem myśleć i cóż mówić o tem?
Ja ciebie kocham! Na cóżby się zdało,
Gdyby krok taki zabił miłość we mnie?
Skończoną byłaby twa gra: rachunek
Trzebaby zdawać li przed Bogiem — prawda?
A zaś co do mnie — czyż może zmartwychwstać
Zamordowana miłość i dla twojej
Kłękać uciechy przed tą, którąś dla niej
Raczyła wybrać? To nazbyt straszliwe!
To ci, Konstancyo, nie było wiadome,
Lecz teraz wiesz już, że dusza i ciało
Jedno li mają życie, tylko jedno! —
U stóp twych leży moja miłość żywa!...

KONSTANCYA. Patrz na królowę! To ostatnie słowo —

Jeżeliś żarty uważał za prawdę,
Jeżeliś mnie kochał tak naprawdę — —

NORBERT.

Tutaj

Niema już żartu! Gdzież śmiech się ten podział,
Którym żart przywyki wybuchać? — a! jakież
Dreszcz wstrząsa tobą, miłościwa pani —
Czemu się chwytasz balkonę? Żłem zrobił?
Czyż nie mówiłem prawdy? Czyliż mogłem
Mówić inaczej? Nie byłaż to twoja,
O pani, próba, aby się przekonać,
Czem miłość moja ku Konstancyi? Pani!
Wszak przedewszystkiem twa królewska dusza
Zgadza się z moim wyborem? Zebraka
Tak się pytamy, czy sprzeda swe dziecko,
I potem radzi jesteśmy z wybuchu
Gniewnego śmiechu, bo jest nam świadectwem,
Ze i w łachmanach kryje się szlachetność.
Powiedz, Konstancyo, jam jest taki żebrak!
Cóż się mierzycie wzrokiem, jak pantery?
Świat się zapada, Konstancyo, ty jedna
Stoisz przede mną!... W tym nocy dzisiejszej
Strasznym zamęcie wszak mnie nie sprzedałaś —
Mnie, duszę duszy twojej?... O nie! nie! Tak łatwo
Wierzyć jest w ciebie. Zaliż twoja miłość
Chciała tą próbą szaloną prześcignąć
W swem poświęceniu moją miłość? Mogłbym
Przeklinać ciebie — ale ja cię kocham!
Miłością jestem i już się nie zmienię —
Oto u stóp twych sama miłość leży!...

(Królowa odchodzi.)

KONSTANCYA: Czuj moje serce!... Niech umrze przy twojej!

NORBERT. Przy mojem!... Zarzuć zasłonę na wszystko!

U szczytu życia jesteśmy!...

KONSTANCYA: Jam twoja!

Twoja, o, twoja!

NORBERT. Ty i ja — cóż badać,

Jakimi tutaj przyszliśmy drogami

W sam labiryntu środek? Ludzie marli,

Próbując znaleźć miejsce, które myśmy

Dzisiaj znaleźli.

KONSTANCYA. Znaleźli! Znaleźli!...

NORBERT. Jej się nie lękaj, luba! Po za wszelkim

Myśmy już bólem dziś — —

KONSTANCYA. Na łonie Boga!...

I ja cię chciałam, jakbyś był człowiekiem,

Koroną kusić wzorem innych ludzi!

NORBERT. Skończyć się musi tutaj — — zbyt to szczytne!...

KONSTANCYA. Zmilkła muzyka — jakież to się ku nam

Zbliżają kroki miarowe?... Płomienie

We mnie i wokół mnie!

NORBERT. Ponad tą jaśnią

Śmierć nagle dłoń swą podnosi. — Wybawi

Nas od wszystkiego...

KONSTANCYA. I dobrze się stanie...
Drzwi się rozwarły!

NORBERT. Wkracza straż...

KONSTANCYA. Pocałuj!

ZASŁONA.

WILLIAM BUTLER YEATS ❁ ❁ ❁ ❁

KSIEŻNICZKA KASIA

(THE COUNTESS CATHLEEN) ❁ ❁ ❁ ❁ ❁ ❁

OSOBY:

SZEMUS RUA, wieśniak.

TEIG, jego syn.

ALEEL, młody pieśniarz.

MAURTEEN, ogrodnik.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

OONA, jej niańka.

MAIRE, żona Szemusa Ruy.

DWAJ DEMONI, przebrani za KUPCÓW.

MUZYKANCI.

WIEŚNIACY, SŁUŻBA, etc.

ANIOŁOWIE, **DUCHY**, **STRZYGI**, **CHOCHLIKI**, etc.

Rzecz dzieje się w Irlandyi, za dawnych czasów.

Chłopa, co nie miał gęby, ócz ni uszu —
Twarz — bryła mięsa; widział go wyraźnie
W świetle miesiąca.

MAIRE podchodząc do ołtarzyka. Spraw, Niepokalana,
By Szemus wrócił zdrów z straszego boru;
Chroń go od wilków; Szemus jest niebaczny;
A chroń go także od leśnych upiorów,
Co się skradają po drogach i zwodzą
Posępnookie dusze świeżo zmarłych
I tych, co żywi, ale giną z głodu.
Chroń go, Przczysta Dziewico!

TEIG. Gdzieś w dali —
Zda mi się — słyszę dźwięki harf i bębny.
(Ktoś puka do drzwi.)

MAIRE. To Szemus wraca.

TEIG. Chyba lepszą dzisiaj
Przynosi strawę, niż ta chuda wrona,
Którą nam przyniósł wczoraj.

(**MAIRE** otwiera drzwi, **SZEMUS** wchodzi z ubitym wilkiem na plecach.)

MAIRE. Późno wracasz;
Nie spieszno-ć było; lubisz pogawędki
Z kimbądź po drodze; wiesz, jakie mnie straszne
Sny niepokoją, jak ciągle się modłę.
A ty od rana legasz na pagórkach,

Lub na przecznicach stajesz, z kim się zdarzy,
I język sobie wycierasz strasznemi
Czasami głodu.

SZEMUS. Ano kłóć się ze mną!
Macie wieczerzę!

(Rzuca wilka na stół.)

Zawsze-ć wilk jest lepszy,
Niż ścierwo wronie. Łaziłem dzień cały:
Myszy i szczury i jeże — to wszystko
Snadź wyzdychało, anim też jednego
Trzepotu skrzydeł nie usłyszał w puszczy,
Choć stopy moje grzęzły po moczarach,
Chociaż w powiędłych topiłem się liściach.
Teraz dopiero spostrzegłem to wilczę
Pod węgiem pustej obory: tym łukiem
Ubiłem zwierza.

MAIRE. Chwalić świętych Pańskich!
(Po chwili.)

Czemu to psisko tak dziś wyje?

SZEMUS. Czemu?! —
Słyszał, żem wrócił, i węszy jedzenie.

TEIG. Tymczasem tedy nie zginiemy z głodu!

SZEMUS. A jakie macie dotychczas zapasy?

TEIG. Pół worka mąki i pół garnka mleka.

SZEMUS. I kurę **Maiwę.**

MAIRE. Zanim powróciłeś,
Straszne hałasy wyprawiała w kojcu.
Cóż tak łośpocę w okno?

TEIG. Dwa puszczyki
Mignęły w oknie i biją skrzydłami,
Odkąd pies wyje.

SZEMUS. Cicho! cicho! cicho!

(Nakłada strzałę na łuk i podchodzi ku drzwiom. Naraz słychać odgłos muzyki.)

Już ich tu niema. Jakiś pan czy pani
Z harfą i bębmem błąka się po lesie,
Teig, rzuć wilka — tam, na górną półkę,
Potem drzwi zamknij.

(TEIG idzie z wilkiem do spiżarni, wraca i zamyka drzwi za sobą.)

Siądź teraz na ławce,
I głośno z twarzą narzekaj poblądłą,
I głowę trzymaj zwisłą na kolanach.

(Otwiera drzwi od dworu.)

Witajcie, państwo, w moich progach: ongi
Niejedna ludzka deptała je stopa —
Dziś chyba ślimak, lub ptactwo tu wchodzi,
I nasze, z głodu trzęsące się nogi.

(Wchodzą: **KSIĘŻNICZKA KASIA**, **ALEEL** z prostokątną harfą w ręku,
OONA, i grupka fantastycznie ubranych grajków.)

KSIĘŻNICZKA KASIA. Jesteście głodni?

TEIG od kominka. Miłościwa Pani!

Padłem i leżę pod progiem, jak pieniek;
Już od dni czterech skórki-m nie miał chleba.

(**KSIĘŻNICZKA KASIA** wysypuje z sakiwki pieniądze na stół.)

KSIĘŻNICZKA KASIA. Dałabym więcej, ale więcej nie mam;

W niejednej chacie byliśmy już dzisiaj;
Jeśli przyjdziecie do mnie jutro rano,
Dam dwakroć tyle; jestem panią zamku
Opuszczonego od dawna w tych lasach.

MAIRE. A więc to pani jest księżniczka Kasia?

Witam cię, pani, pod mą biedną strzechą —
Ciebie i twoich; może usiąść raczysz
Tutaj, przy ogniu, ażeby się rozgrzać.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Trzeba nam wrócić do leśnego dworca
Przed chłodem nocy.

(**GRAJKOWIE** stroją narzędzia muzyczne.)

Nie łaj mnie, poczcłwa
Moja kobieto, za bęben i harfę.
Przed grozą dni tych rozkaz mam uciekać,
W śpiewie się chronić i słodkiej muzyce,
Jeśli ze smutku nie mam zejść do grobu.
Zmyliłam drogę, a pieśniarz Aleel,
Który powinien znać te ciemne bory,
Bośmy go na ich spotkali okrańcach,

Gdzie się przechadzał i śpiewał, jak szumne
Odmęty morskie, — tak się wśnił głęboko
W sny o straszliwych klęskach naszych czasów,
Ze nam pomocy żadnej dać nie może.

MAIRE podchodzi z nią ku drzwiom.

Za tą leszczyną jest cienista ścieżka,
Która prowadzi do twojego, pani,
Wielkiego dworca w tych lasach nieszczęsnych.

ALEEL. Zamknijcie drzwi te, odgródźcie te bory —

Przed półgodziną gdyśmy je rzucili,
Nad głową naszą dwa wielkie puhacze
Puhwały wieści o przedziwnych klęskach,
Które nas mają nawiedzić. Graj, harfo!
Bo choć świat cały jednym zda się jękiem,
Wszystkiem, cokolwiek żywie pod księżycem,
Władnie muzyka; a grajcie nam piosnkę:
„Wicher powiewa od brzegów Cummenu“.

(Śpiew.)

Ukój się, ukój, serce smagane;
Chowaj przed światem miłości ranę,
Niech pieśń ją skryje dźwięcząca.
Ten, co swą wolą nad wszystkim włada,
Przywarł drzwi strągi, gdzie gwiazdek stada,
Gdzie widmo błędnego miesiąca.

(Wychodzi ze śpiewem na ustach; z nim razem **KSIĘZNICZKA, OONA**
i **GRAJKOWIE.**)

MAIRE zamyka drzwi na rygiel.

Jeśli bogatych i uczonych ludzi
Odbiega spokój, jeżeli się boją
Leśnych widziadeł, to wolno ubogim
Zamknąć na rygiel drzwi i zmówić pacierz
Przy świętym ogniu...

(Szemus liczy pieniądze i dzwoni jedną monetą po stole.)

SZEMUS. Popatrz ~ Matka Boska,

Ukołysana wiewem nieśmiertelnych
Skrzydeł, zapadła w drzemkę i nie słyszy
Prośby ubogich; byłem u Małgochy
Nolan ~ od szczawiu gębę ma zieloną
I od lebiody ~ dziewięć dni tak żyła.
Teraz ją budzą.

MAIRE. Muszę ją odwiedzić

W najbliższym czasie; chaty naszych ojców
Na temże samem graniczyły polu.

SZEMUS. Pan Bóg się zdrzemnął razem z Matką Boską,

Pomęczyły ich modły i gromnice;
A za to szatan z dzieży swej głód sieje ~
Myślę go prosić, aby stół ten okrył
Czerwonem złotem. Chcesz, abym to zrobił,
Teig?!

TEIG. Ja nie, mój ojczu!

MAIRE. Szemus, Szemus —
Może twa dusza pomodlić się zdoła
Na przekór ustom twoim...

SZEMUS. Dwie korony
Pensów dwadzieścia.

MAIRE. Co to — jarzębina?

SZEMUS podnosi gałąź ze stołu.
Kotysał mi się na plecach, więc wziąłem
Gałąź jarząbczą, przywiązałem do niej
Zwierza — i takem go przyniósł.

MAIRE odbiera mu gałąź. Szemusie!
Chcesz spalić świętą gałąź jarzębiny,
Co moc uroczną ma przeciw złym duchom
I wszelkim zmorom? Ty nie wiesz, czem były
Te dwa puhacze, któreśmy widzieli.
Różne majaki mieszkają w tym lesie,
Mogące przybrać kształty, jakie tylko
Im się uwidzi, a myśmy tej nocy
Nie mieli mleka, aby dobre duchy
Zjednać dla siebie. A zasię Aleel,
Co miał rozmowę z samym wielkim Widem,
Same li dzisiaj przepowiada klęski.

(Kładzie gałąź jarzębiny na stolku.)

SZEMUS. Jabym wieszczę swoją jadł z tym samym —
Widzisz — humorem, choćby przy kominku

Siedział sam Puka, włł lub ziemnik jaki
I ręce sobie zcierał nad ogniem.

(Dzwoni inną monetą po stole. Szmer kroków za drzwiami.)

MAIRE. Kto tam odgadnie, coś za zło wprowadził
W nasz dom, Szemusie. Strach mnie dziwów leśnych.

(Ktoś puka do drzwi.)

Nie trza otwierać.

SZEMUS. Ano dwie korony
I tych dwadzieścia pensów to za mało,
By zapchać dziurę, w której głód się szasta.

(Ołtarzyk spada na ziemię.)

MAIRE. Patrz!

SZEMUS kopnięciem rozbija ołtarzyk na kawałki.

Matka Boska zdrzemnęła się trochę,

A jej domostwo rozbite na trzaski.

MAIRE. Złituj się, Maryo! Matko Boża!

(**SZEMUS** otwiera drzwi, w których staje **DWÓCH KUPCÓW**. Mają złote
obrączki na czołach, na plecach wory.)

PIERWSZY KUPIEC.

Macie

Jakową strawę?

SZEMUS. Dla tych, którzy dobrze

Mogą zapłacić.

DRUGI KUPIEC. Bogaci my kupcy,
Chodźm po świecie za towarem.

SZEMUS. Wejdźcie,
Wejdźcie, szlachetni panowie.

MAIRE. Nie wchodźcie!
Zaledwie dla nas wystarczy tej strawy.

PIERWSZY KUPIEC. Toć macie wilczę w spiżarni na półce.
(Wchodzą.)

SZEMUS. Raczcie, panowie, wybaczyć mej żonie —
Nie zna się wcale na godnościach — jest też
Na pół szalona z ciągłej samotności.
A skąd wiadomo, żem przyłapał wilka?
Przednie jedzenie, chociaż nieco dziwne —
Wiecie — w zapachu.

(**DRUGI KUPIEC** siada przy ogniu i zaczyna zacierać ręce.)

PIERWSZY KUPIEC staje obok i patrzy na gałąź jarzębiny, leżącą
na stołku. Zostałbym tutaj, noc już nieco chłodna
I nogi bolą — tak się nachodziły
Z kraju do kraju, od ludu do ludu.
Ogień się ledwie tli — dorzuć tę gałąź.

(**SZEMUS** rzuca gałąź jarzębiny w ogień. **PIERWSZY KUPIEC** siada na
stołku. Stołki **KUPCÓW** znajdują się po jednej i po drugiej stronie ognia.
Pomiędzy nimi stół. Obaj składają wory swoje na stole. Noc zapada, światło
idzie głównie od kominka.)

MAIRE. Co jest w tych workach?

SZEMUS.

Wybaczcie, panowie!

Kobiety nazbyt stają się ciekawe
I lekkomyślne, jako że obcują
Pomiędzy sobą więcej, niż wymaga
Tego ich dobro.

PIERWSZY KUPIEC. W workach pełno mamy

Złota na kupno towarów.

(Wysypują złoto na stół. Stół pokryty czerwieniami, lśniącoymi w ogniu.

MAIRE podchodzi ku drzwiom komory i, nie spuszczać kupców z oka,
coś mruży do siebie.)

TEIG.

To jacyś

Wielcy panowie!

(**PIERWSZY KUPIEC** wyciąga dzbanek kamienny z worka.)

Siadajcie przy ogniu!

Mamy tu wino od wszech róż wonniejsze!

DRUGI KUPIEC. Wino, co umie uspić drobną walkę

Pomiędzy dobrem a złem, budząc w zamian

Aromatyczny żar, co strzela w górę,

Jako ów spokój, który na dnie serca

Zna ptak drapieżny.

SZEMUS przynosi kubek. Ja-ć was nie rozumiem,

Lecz wasze wino budzi mi pragnienie:

Tak je chwalicie, aż wam oczy płoną.

Wolno skosztować?

PIERWSZY KUPIEC. Owszem, pijcie! pijcie!

Ja daję szczęście wszystkim śmiertelnikom,
Którzy je piją długim i głębokim
Haustem... a zasię w potępieniu u mnie
Są drogi mnichów, wysypane solą!

(TEIG i SZEMUS siadają przy stole i piją.)

TEIG. Rzadkie zapewne widzieliście kraje
I rzadkie sprawy.

PIERWSZY KUPIEC. A co też myślicie —
Jakiemu panu my służymy?

SZEMUS. Zycie
Jest mi ciężarem, bo ja mu nie służę!

PIERWSZY KUPIEC. Lecz o tem więcej, gdy sobie podjemy;
Lubimy bowiem wesołą wieszczkę,
Skrzający się ogień i pogodne serca,

SZEMUS. Chodź-że tu, Maire, ugotuj nam wilka.

MAIRE zbliża się do ognia. O, woda nie chce gotować się dla was.

PIERWSZY KUPIEC szepce coś nad wodą.
Już się gotuje.

MAIRE. Ja nie chcę gotować
Dla was!

SZEMUS. No, Maire wściekła się zupełnie!
(TEIG i SZEMUS wstają ze stołków i zataczają się.)

SZEMUS. Nie było w świecie zdradliwszego wina.

MAIRE. Nie chcę gotować dla was; wy nie ludzie.

Dwa śmy przed wami widzieli puszczyki,
Pies wył na dworze, a język Szemusa
Błuźnił; w tej chwili, gdyście przyszli do nas,
Spadł z gwoździa obraz Przenajświętszej Panny,
A gdyście siedli, tak laliście wino,
Jak skrzaty leśne, kiedy wabią dusze
Precz z tego świata... Pocoście tu przyszli?
Nie śmierć-że blizka?

PIERWSZY KUPIEC. Myśmy dwaj kupcowie.

MAIRE. Jeśliście tedy nie dyabelskie duchy,
Idźcie — i nędzny lud, ginący z głodu,
Darzcie jałmużną. Toć się bogaczami
Zdacie większymi, niż ktobądź pod słońcem.

PIERWSZY KUPIEC. Jeżeli znacie tu godnych jałmużny,
Zaraz ją damy.

MAIRE. Idźcie się zapytać
U księdza Jana.

PIERWSZY KUPIEC. Znane nam złe skutki
Zwykłej litości, przeto wskazać chcemy
Inną, właściwszą drogę: niechaj każdy
Przyniesie do nas to, co ma na sprzedaż.

MAIRE. Ludzie, ginący z głodu, czyliż mogą
Mieć co na sprzedaż?

PIERWSZY KUPIEC. O, my kupujemy
To, co ma każdy.

MAIRE. Kupcowie! Ich świnie,
Bydło i pola i wszelkie narzędzie
Posprzedawane.

PIERWSZY KUPIEC. A jednak nie wszystko
Sprzedane jeszcze...

MAIRE. Cóż mają takiego?

PIERWSZY KUPIEC. Dotychczas mają — dusze...

(**MAIRE** wydaje okrzyk przerażenia. **KUPIEC** kiwa na **Teiga** i **Szemusa**.)

Chodźcie tutaj!

Patrzcie! te małe kupki złota! Każda
Z nich, to zapłata za duszę... z litości
Płacimy tyle grosza za te biedne
Płomyki... Idźcie i mówcie każdemu,
Ze kupujemy dusze ludzkie... Idźcie.

(**TEIG** i **SZEMUS** nie ruszają się z miejsca.)

Ten stos dla ciebie, a ten zaś dla ciebie.

(**TEIG** i **SZEMUS** zgarniają pieniądze.)

Głoście na wszystkich rozstajach, na wszystkich
Rynkach i wszystkich uliczkach, że ludzkie
Skupujem dusze, za drogie pieniądze,

A tyle dajem, iż do końca głodu
Każdy żyć może w szczęściu i weselu.

(TEIG i SZEMUS wychodzą.)

MAIRE klęka. Dusz niszczyciele! Oby was Bóg zniszczył!

PIERWSZY KUPIEC. Nie sięga klątwa nieśmiertelnych duchów.

MAIRE. Bodajście zwiędli, jak liście powiędłe,
Jak zdechłe gady bodajście zawiśli
Na bramach Boga!

PIERWSZY KUPIEC. I ty będziesz naszą.

Ten głód bez końca trwać będzie. Lebiodę,
Szczaw będziesz jadła i trawę, osłabniesz,
Że próg ten niski wyda ci się murem,
A gdy na rękę już ciała nie dźwigniesz,
Przyjdziem po ciebie.

(Do DRUGIEGO KUPCA.)

Przynies mąkę.

(DRUGI KUPIEC przynosi z szafy worek mąki.)

Spal ją.

(MAIRE mdleje.)

Leży zemdlona. Wyjdziemy stąd z twarzą
Niepodrapaną. Przynies mi tu kurę.

(DRUGI KUPIEC wychodzi i wraca z uduszoną kurą. Rzuca ją na ziemię.
Podczas jego nieobecności PIERWSZY KUPIEC krząta się koło ognia.
Przynosi następnie garnek mleka z komory i wylewa je na ziemię. Wraca,
przynosi wilka i rzuca go obok kury.)

Dobrego trzeba tu ognia, z tej ławki
I z tego stołka godny będzie płomień.

(Łamie stołek i ławkę.)

Tak pan mój słońce zdruzgoce i księżyc,
I gwiazdy zgasi w swej odwiecznej nocy,
I tron wywróci Boga i aniołów.

ZASŁONA.

AKT DRUGI.

Więłka sala w zamku KSIĘŻNICZKI KASIA. W głębi ogromne okno, przez które widać las. Po prawej stronie wznosi się mur, odcinający kąt sceny. Kamiennie schody prowadzą do wąskołukiej bramy w wystającym murze. Przez bramę widać małą kapliczkę. Sala obwieszona starożytnymi tkaninami, przedstawiającymi sceny miłosne, wojenne i myśliwskie, legendowych Fenian i bohaterów z cyklu „Czerwonego Rodu“. Drzwi po prawej i po lewej. Po lewej, przy kądzieli, siedzi OONA, jakby drzemiąc. KSIĘŻNICZKA KASIA stoi nieco w głębi i więcej ku prawej stronie, otoczona grupą fantastycznie ubranych muzykantów, grających wesołe melodie.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Męczy mnie bęben i harfa, przestańcie.
(MUZYKANCI wychodzą. KSIĘŻNICZKA zbliża się ku OONIE.)

Drzemka ?

OONA. Nie, dziecko; rozważałam tylko,
Dlaczegoś smutna.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Martwi mnie głód ludu.

OONA. Zim dziewięćdziesiąt żyję już na świecie
I trzy poznałam choroby, na które

Niemasz lekarstwa: miłość, głód, samotność.
Tak, niema na nie innego ratunku,
Oprócz starości i snu... Popatrz, dziecko,
Jak Oisin pędzi w uścisku wzajemnym
Z Niam, jak — spojrzij — hyrni Fenianie
W ślad swojej sfory gonią po rozłogach;
Hucznie-ć to żyli oni i buńczucznie,
A przecież ludzie marli też! Siądź przy mnie,
O danańskich zaśpiewam ci hufcach —
Pieśń, którą śpiewał dla ciebie Aleel
Przy wielkiej bramie, nimeśmy go jeszcze
Straciły w cieniu dąbrowy.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Nie, śpiewaj
Śpiew, który śpiewał, gdyśmy go raz pierwszy
Spotkały w cieniu dąbrowy o mroku —
Śpiewaj o królu Fergusie, jak pędził
W spiżowym wozie wskrósł lasów, otoczony
Tłumem tancerzy.

(Kląka na posadzce i składa ręce na kolanach OONY.)

OONA. Daj się ukołysać,
Drogie me serce, pieśni i muzyce
I klechd prastarych urokom. Dlaczego
Mają cię martwić klęski i nieszczęścia,
Którym zapobiedz nie możesz? Z uśmiechem
Patrzy Bóg wielki na to, co przeznaczył
Na zgubę. Bądź mi wesołą! On kazał,

By młodość była wesołą, a starość
Mądrą.

GŁOS z zewnątrz. Z księżniczką widzieć się nie można.

INNY GŁOS. Muszę się widzieć.

(Krótka sprzeczka. SŁUGA wchodzi drzwiami po prawej stronie.)

SŁUGA. Ogrodnik chce gwałtem
Pomówić z panią — nie mogę go wstrzymać.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Wpuścić... Witajcie!

(OGRODNIK, człowiek stary, wchodzi drzwiami po prawej. SŁUGA wychodzi.)

OGRODNIK. Raczcie mi wybaczyć
Ten zakurzony strój; niosę nowiny
Tak gorzkie, pani, że waszej miłości
Gorszych nikt inny nie przyniósł.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Czyż mogą
W tych czasach głodu być jeszcze nowiny
Gorzkie czy słodkie?

OGRODNIK. Szajka wychudzonych
Jakichś włóczęgów, — niech Pan Bóg ich skarże —
Wlazła ostatniej nocy do ogrodu: —
Ani jednego niema już dziś jabłka
Coś na dwudziestu jabłoniach; szparagi,
Grzędy truskawek stratowali na nic;

Na moich bukach, na mych śliwach niemasz
Ni jednej całej gałęzi, z owoców
Już ani śladu! A przytem te łotry
Zabiły jeszcze mego psa — niechże ich
Morówka trzaśnie! — stary, ślepy Finek —
Ten bez ogona — wiecie — padł z ich ręki.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Wiem, jakąś codzień otaczał miłością
Te różne grusze swoje i jabłonie —
Jaka stąd klęska spadła na twe lata,
Nie trzeba mówić. A jednak powiadam,
Że winien tutaj czas głodu, nic więcej.
Nie martw się, stary.

OGRODNIK. Dzięki, miłościwa
Pani!

KSIĘŻNICZKA KASIA. O głodzie jakież macie wieści!

OGRODNIK. Żółte wyziewy, którymi przesiąkły
Przyszedłem tutaj, a które o zmierzchu
Rozpełzywają się po naszych polach,
Zniszczyły moje płonki, moje drzewka.
Proszę więc Boga, ażeby to przeszło.

(Idzie ku drzwiom; potem zatrzymuje się.)

Możebym dostał, pani, jaki stary
Łuk — przyda mi się: — przykucnę za krzakiem
I będę w nocy pilnował mych gruszek,

A wzdyc postrzelę każdego, ktokolwiek
Tam się pojawi.

KSIEŻNICZKA KASIA wskazując na szafarnię. Tam ci dadzą piwa.
(Ogrodnik odchodzi.)

OONA. Co on ci gadał? Stał z mej głuchej strony.

KSIEŻNICZKA KASIA.

Skradli mu jabłka... Czas zbiorów i nazbyt
Powolne jabłek i grusz dojrzewanie
Trapią go zawsze.

OONA. Złóż z powrotem głowę
Na mych kolanach — zaśpiewam ci, dziecię,
Jak Fergus jechał na spiżowym wozie.

(Śpiewa cienkim od starości głosem.)

„Któż to z Fergussem pomknie w dąbrowę
„Przebić gąszcze śród leśnej mroczy
„I na pobrażonej płasć polanie?
„W górę, młodzieńcze, wznies ciemną głowę,
„W górę, dziewczyno, wznies jasne oczy —
„Bojaźn niech minie, nadzieja wstanie!...

Znowu popadłaś w swą smętną zadumę —
I nie słuchałaś.

KSIEŻNICZKA KASIA. Śpiewaj, stara Uno!
Ja róg Fergususa w sercu swoim słyszę.

OONA. Ja nie rozumiem, co pieśń ta oznacza —
Jestem za stara.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Gra, gra róg Fergususa —

OONA śpiewa. „Przestań o gorzkiej dumać miłości,
„Niech jej tajemnic serce nie bada,
„Fergus na wozie spiżowym płonie —
„On, co dziedzicem leśnych jest włości,
„Nad białopiersnych mórz głębią włada
„I gwiazd zastępy ma przy swym tronie.

GŁOS SŁUGI z poza sceny.

Księżniczce dzisiaj przeszkadzać nie można.

INNY GŁOS. Muszę ją widzieć!

KSIĘŻNICZKA KASIA. Któż mnie potrzebuje?

SŁUGA. To owczarz przyszedł z jakąś sprawą.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Wpuścić!

(OWCZARZ wchodzi drzwiami z prawej.)

OWCZARZ. Wybaczcie, pani, tę zszarganą odzież.

Idę z daleka. Owce mi skradziono

W nocy ze strągi dzisiaj. Wasza miłość

Gniewać się będzie... Nie wińcie mnie, pani —

Wina w tych czasach złodziejskich.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Głód wniem,

Nie wy.

OWCZARZ. Na klęczkach dziękuję. Patrzący
W wasze oblicze, pani, najbiedniejszy
Człek zapomina o biedzie, a bogacz
O swojej trosce.

KSIEŻNICZKA KASIA. Cóż słyhać o głodzie?

OWCZARZ. Kiedym przechodził dziś pod Tubber-vanach,
Chłop jakiś starszy siedział z młodym chłopcem
Na kamieniskach, obaj z wycieńczoną
Twarzą od głodu, i obaj, rękami
Wywijający, pletli coś tłumowi
Mężczyzn i kobiet i dzieci o jakichś
Dwóch niby kupcach, którzy gdzieś w chałupie,
W pośrodku lasów, jakoby dla piekła
Kupują dusze, dając takie ceny,
Ze ludzie mogą cały czas posuchy
Żyć sobie bardzo dostatnio. Doliny
Szaleją z głodu — ja bo się raduję,
Ze mam swój szałas w gorach, bliżej Boga.

(Zwraca się ku wyjściu.)

KSIEŻNICZKA KASIA wskazując w stronę szafarni.
Dadzą wam piwa i kęs mięsa. Idźcie.
W taką daleką drogę toście chyba
Wstali przed świtem. Trzymajcie się wirchów,
Zdała od światła — ciężar jego grzechów
Na waszych barkach spoczywać nie będzie.

OWCZARZ. Szczęsny-m, że służę u waszej miłości! (Wychodzi)

OONA. Co on ci gadał? Stał z mej głuchej strony.

O jakichś bardzo, zda mi się, bolesnych

Mówił ci sprawach...

KSIĘZNICZKA KASIA. O, smutniejsza jestem

Od starej pieśni. Serce moje, Uno,

Za stokroć głębszym stęsknione spokojem,

Niż go miał Fergus w spiżowym rydwanie.

(Wskazuje na jedną z tkanin, wiszących na ścianie.)

Chciałabym dzisiaj — jak owa Adene,

Co w dawnych czasach poszła śladem nuty,

Drżącej o zmierzchu, — zejść między chochlików

I żyć w ich skrzętnym, miodopłynnym kraju.

OONA. Ściągniesz nieszczęście. Nie mów takich rzeczy.

KSIĘZNICZKA KASIA. Młodej Adeny wydzierzgany obraz,

Kroczącej z palcem, wzniesionym do góry,

I Alela dzika pieśń o wiecznym

Pląsie pradawnych hułców danańskich,

Którą mi śpiewał dziś przy wielkiej bramie,

Nimeśmy jeszcze straciły go w mroku

Bujnego liścia — to zrodziło we mnie

Bezbożne słowa.

(SŁUGA wchodzi śpiesznie do komnaty, za nim TRZECH LUDZI. Dwaj z nich są wieśniakami.)

SŁUGA. Burgrabia zamkowy
Prowadzi tutaj dwóch ludzi, pragnących
Pomówić z waszą miłością.

BURGRABIA. A mają
Rzec ci, o pani, rzeczy tak przedziwne,
Że równych dotąd nie było na ustach
Ludzkich.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Tu chleb jest potrzebny; uczeni
Teologowie zapisali w księgach,
Że komu braknie strawy, ten bez grzechu
Zabierać może chleb i kawał mięsa
Tym, którzy mają nadmiar w swych szafarniach.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Przyszliśmy tutaj, by naprawić kradzież.
Ja z trzech jabłoni skradłem pięćset jabłek
I skryłem w jamie, a ten oto tutaj,
Sąsiad i druh mój, skradł ostatniej nocy
Dwie tłuste owce z twego, pani, stada
I pod swą strzechą powiesił na belce.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Ale od tej pory
Los nasz się zmienił. Wracając ścieżyną
Pod Tubber-vanach, spotkaliśmy w drodze
Szemusa Ruę ze synem, i oni
Wraz mnie powiedli do dwóch wielkich panów,
Którzy kupują dusze — za pieniądze.

Sprzedalem swoją, namówilem druha,
I ten swą duszę również przehandlował.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK. I teraz lud cały,
Niby wrzawliwe stado mew, szarpiających
Szczęt zdechłej ryby, ciśnie się sprzedawać.
Wkrótce nie będzie jednej ludzkiej duszy
Niezaprodanej — na setkę baronij.

DRUGI WIEŚNIAK. Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Sprzedawszy, jak rzekłem,
Nie znamy bardziej przyjemnego życia,
Jak się rozgrzewać — — spojrzycie-no, pani,
Za te pieniądze oddaliśmy dusze.

DRUGI WIEŚNIAK. Oto pieniądze!

(Wydobywają z kieszeni pełne garście czerwieńców. **KSIĘŻNICZKA KASIA**
zrywa się w zdumieniu.)

A że się lękamy,
Iż możemy wisieć za owo złodziejstwo,
Chcemy zapłacić za owce i jabłka.
Ile żądacie?

KSIĘŻNICZKA KASIA. Schowajcie pieniądze!
Czyż wy myślicie, że dotknę się złota,
Pochodzącego od złych duchów? Idźcie!
Dwa — trzy — dwadzieścia razy tyle grosza

Co tchu im zwróćcie i wykupcie dusze —
Ja dam pieniądze.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Nie — idziemy teraz
Pić i weselić się.

(Odchodzą.)

KSIEŻNICZKA KASIA do sługi. Biegnij za nimi,
Proś ich i sprowadź napowrót.

(Do burgrabiego.)

Burgrabio!

Ty znasz tajniki tego dworca! powiedz,
Ile mam tutaj w złocie?

BURGRABIA. Sto tysięcy.

KSIEŻNICZKA KASIA. A ile w zamkach?

BURGRABIA. Znacznie będzie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA. Ile w pastwiskach?

BURGRABIA. Znacznie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA. Ile
Warte me lasy?

BURGRABIA. Znacznie, znacznie więcej.

KSIEŻNICZKA KASIA.

Dwór ten zatrzymam, wszystko inne sprzedaj.
Zakup okręty z mąką i ze zbożem

I stada bydła — a śpiesz się! Lecz zanim
Pójdiesz, daj rozkaz, aby wydawano
Złoto każdemu, ktokolwiek się zgłosi.

BURGRABIA. Łaska światłości bożej niechaj spłynie
Na waszą miłość! Kraj chcesz zbawić, Pani!

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Śpiesz się, nie zwlekaj, a poleć zamieszkać
W tym domu wszystkim starcom i cierpiącym.
(BURGRABIA odchodzi; wraca SŁUGA.)

Co ci się stało? Mów prędko. Pobladłeś.

SŁUGA. Kiedym się zbliżył, rzekł ten wyższy złodziej,
Że niby niema co mu się przyglądać,
I wręcz odmówił.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Czyliż mi nikt inny
Ich nie sprowadzi?

SŁUGA. Nikt nie ma odwagi:
Oczy im płoną, jako u rozżartych
Ptaków drapieżnych.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Obyż się nad nimi
Pan Bóg zlitował!

SŁUGA. Uciekłem, bo mają
Jakąś moc w sobie, obcą człowiekowi.

KSIEŻNICZKA KASIA. Zostaw mnie teraz; niech się nie odezwie
Zaden głos w zamku i niechaj nie słyszę
Zadnego kroku, niechaj mi nie grają
Zadne narzędzia muzyczne; już umarł,
Umarł mój spokój!

(**SŁUGA** odchodzi. **KSIEŻNICZKA** zbliża się do **OONY** i kładzie głowę
na jej kolanach.)

OONA. Cóż ci tak gadali
Tyle ci ludzie — po mej głuchej stronie?
I skąd im przyszło tak dużo pieniędzy?
Dlaczego płaczesz? I takimi łzami!
Takimi łzami! Patrzaj, drogie dziecko,
Jakie ogromne te łzy — te łzy twoje!
O Wierzbo Świata Płacząca, o Erie!
Na tę najmiłszą córkę cień twój pada,
Liście twe szumią naokół jej głowy.
Dziękuję Bogu, żem już taka stara,
Że mnie pochłania sen mych lat wiekowych!

ZMIANA.

Wielka sala w zamku **KSIEŻNICZKI KASI**. Pólnoc. W sali niema nikogo.
DWAJ KUPCY wchodzą ostrożnie, z próżnymi workami na plecach.

PIERWSZY KUPIEC. Skądże ty wracasz, bracie?

DRUGI KUPIEC. Z dróg rozstajnych
Pod Tubber-vanach. W dziewięćmiesięczną
Przemienion świnkę, siedzę na pośladkach,

Gdy wtem się zbliża ojciec Jan, posepny,
Smutny, swe zwykle szepczący modlitwy.
Wydało mu się, że jest z jego chlewka —
Zobaczył ucho brunatne — i brewiarz
Wypadł mu z ręki. Poczyna uciekać,
A ja w ślad za nim gonę — za swym łupem.
Padł niedaleko zagrody — nieżywy.
Do worka-m duszę wpakował i wracam.
Nagle, wśród drogi — wiesz — jej ręka prawa,
Ręka, co nędzę darzyła jałmużną,
Przedarła worek swoją cnotliwością —
Dusza uciekła.

PIERWSZY KUPIEC. Z księdza Jana śmiercią
Będziemy jutro mieli dusz aż nadto.

DRUGI KUPIEC. Mojem zadaniem było zabić klechę,
Ty masz ograbić księżniczkę. Nie bardzo
W tem ci się wiedzie... Siedziałeś beczynnienie,
Zmęczony, z brodą wspartą na kolanach,
Gdy zewsząd ludzkie potępione dusze
Z pod strzech, gałęzi, z pod poręczy okien,
Jęły się skradać niby nietoperze,
A zaś po lasach płynęły z wiatrami,
Do roztopionych podobne płomieni,
Przerozmaite stwory żywiołowe.

PIERWSZY KUPIEC. Żle mi się wiedzie. Ta święta księżniczka
Tak nieustannie żarliwie się modli,

Ze bramy zamku i okna, z pobożnym
Przywarte znakiem, urągają moim
Trudom piekielnym. Lecz teraz, modłami
Zbyt umęczona, zasnęła.

(Wskazuje na drzwi kaplicy. Zaglądają do niej ostrożnie.)

Spoczywa

Na ołtarzowych stopniach, robotnica,
Wielce strudzona Jego pól uprawą
I dobijaniem się do Jego głuchych,
Zamkniętych uszu — w nadziei, że może
Od gwiazd odciągnie Jego dłoń ku ziemi,
Iżby nam lud ten wydarła.

DRUGI KUPIEC. Odejdźmy,

Bo gdy się zbudzi i modlić rozpocznie,
Trzeba się będzie udusić.

(Wychodzą bramą po lewej stronie i po chwili wracają znowu, dźwigając
pełne wory na plecach).

PIERWSZY KUPIEC. Prześwietna —

O przewspaniała myśl — moja, tak, moja!
Już przekupywać nam nie będzie biednych,
Mistrza naszego okpiwać nie będzie,
Gdy my w tej leśnej grzęźniemy chałupie,
Gdzie próg porasta trawą, gdzie ślimaki
Po zachwaszczonej pełzają podłodze.

DRUGI KUPIEC. Dokąd to, bracie, spieszy ten rój karłów,
Ci człowiekowi wrodzy wód mieszkańcy?

(Otwiera wielkie okno i patrzy na wierzchołki drzew.)

Nie do nas idą... Precz stąd uciekają,
Niechętni dla nas pracownicy.

PIERWSZY KUPIEC.

Zaraz

Ja ich przywołam.

(Woła przez okno.)

Chodź tu, wodny ludku,
Elementarne chodźcie tu zastępy,
Porzućcie fale nabrzmiałe — niech surmy
Wzdętych bałwanów grają sobie samym —
Zrzućcie z swych włosów te morskie opłoty
I chodźcie do nas.

(Po chwili.)

Słyszę jakieś szumy,
Jak bicie wałów o dalekie brzegi —
Teraz bogunki, niby wiry świetlne,
Zarośli się po ścieżkach dąbrownych.
Trawy i liście chylą się przed niemi,
A owo wielkie i powiędłe dęby
Z stóp ich sunących pieszczą się szelestem.

DRUGI KUPIEC. Prosta jest dusza tych stworzeń zielonych —

Ni dla aniołów ona ani dla nas;
Z śmiechem się budząc z topielnej pościeli,
Ni ku dobremu wstają ani złemu.

CHOCHLIK. Niechętnie idziem, bo ta, której złoto

Mamy do leśnej unosić chałupy,
Droga jest wielce naszemu plemieniu.

Tam, ponad morzem, wśród wielkiej doliny,
Stu owczaryszków owce jej wypasa,
A gdy zapadnie zmrok, u drzwi szałasu
Stawiają dla nas sto dzbanków białego
Mleka maciorek, ażebyśmy mieli
Czem się pożywić, wracając o zmierzchu
Z płasów z chochłami lądowymi.

PIERWSZY KUPIEC czyniąc znak w powietrzu. Słuchać!
Lub będzie kara.

CHOCHLIK. Jakieś znamię złego
Pali nam serca, więc słuchamy.

(Tłum krasnoludków gromadzi się naokoło okna i z wielkiego worka każdy z nich zabiera po małym woreczku. Jest ich około sześćdziesięciu, kobiet i mężczyzn, w zielonych strojach i czerwonych czapeczkach, ozdobionych muszlami.)

PIERWSZY KUPIEC. Teraz
Idźcie!

(Odchodzą.)

Kazałem im odejść; gwarliwie,
Wiatrem podszyte stworzenia; me uszy
Ogłuchły niemal z ich morskich szczebiotai.
Trzeba po więcej iść pieniędzy. Bracie!
Tęsknota gna mnie ku naszej dziedzinie,
Chciałbym już urzeć twarz naszego władcy.

DRUGI KUPIEC. Trud mnie umęczył.

(Wychodzą i wracają, jak poprzednio, z naładowanymi workami).

DRUGI KUPIEC wskazując na kaplicę. Jakby tę niewiastę
Pozyskać jednak dla naszego pana?
Ta perła cudna, ten turkus, wsadzony
W jego dyadem, świeciłby światłością,
Jak blaski Tego, którego imienia
Nie ośmielamy się wymienić. Teraz,
Gdy hufców naszych pełne są przestworza,
Czyby nie zabić jej, nie unieść duszy,
Zanim się zerwą zastępy aniołów?

(Kilka woreczków wypada z sakwy skórzanej.)

PIERWSZY KUPIEC. Kto rozdarł sakwę?

DRUGI KUPIEC.

Palec księdza Jana,

Gdy z niej uciekał. Ze to duch był stary
I niepokazny, więc myślałem sobie,
Iż dziura będzie bez znaczenia.

PIERWSZY KUPIEC.

Widzisz:

To stąd pochodzi, że kradniemy dusze,
Które nie całkiem są nasze. Jeżeli
Ten turkus piękny chcemy dla naszego
Pozyskać władcy, musi on do piekieł
Zejść z własnej woli.

(Nadsłuchuje.)

Hałas zbudził służbę.

Podczas, gdyś mówił, słyszałem ruszanie
Krzesel i odgłos ludzkich kroków... Mamy

Czas — oni w dalsze odejdą komnaty.

Przywołaj teraz strzygi i upiory.

DRUGI KUPIEC podchodzi do okna.

Niema... Zmęczone... Pierzchły... Pracownicy
Są nam niechętni.

PIERWSZY KUPIEC. Zaraz ich tu ściagnę.

(Woła przez okno.)

Chodźcie tu, dusze potępionych ludzi,
Co w śnie pijanym zmarli, co zginęli
Jeden od ręki drugiego, dziś dla nas
Wyhandlowani przez Szemusa Ruę.
Do nas tu, do nas chodźcie wszystkie strzygi,
Gorzko swych własnych żalujące grzechów,
Zaklęte w zwierząt i gadów postaci —
Wy z żądź piętnami na obliczach, do nas
Chodźcie, upiory, rzućcie rokiciną
Zarosłe bagna i grzązkie wądolce —
Wy, błędne ognie, coście ongi były
Duszami ludzi, a dzisiaj jesteście
Nędzą znikomą...

DRUGI KUPIEC. Nie chcą iść.

PIERWSZY KUPIEC czyni znak w powietrzu. Upiory
I strzygi, chodźcie!

DRUGI KUPIEC. Słyszę, jakby szelest
Rozkołysanych burzą trzcín... Upiory

I strzygi wstają, by wyziewy, z ziemi;
Liście i trawy łamią się i giną —
Niezwyczajny wiatru lodowego podmuch
W nic je rozwiewa.

PIERWSZY KUPIEC. Zniszczenie z nich idzie:

Wiądy i szały, grad, pioruny, susze.

(Ciemnia napelnia się powiewnemi postaciami, niektóre z nich mają kształty zwierząt, inne wyglądają, jak ludzie, a inne znowu do mgławych podobne światel.)

Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

UPIÓR. Myśmy zbyt gwałtowni —
Z postaci więcej podobni do burzy.

DRUGI KUPIEC. Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

STRZYGA. Myśmy nazbyt słabi —
Nikli, bez życia.

PIERWSZY KUPIEC. Chodźcie wy tu do mnie,
Coście pomarli ostatni i ludzką
Wciąż macie postać — postać siły...

(Wchodzą obaj **ZŁODZIEJE** z poprzedniej części aktu. Twarze ich wymęczone.)

Nuże,
Nuże, bez swarów, zabierzcie te worki.

PIERWSZY WIEŚNIAK. Ej! ej! niechętnie, bo ta, której złoto
Precz unieść mamy na tych naszych plecach,
Żywi w swem sercu litość nieskończoną
Dla potępionych wszystkich dusz. O, nieraz,
Gdy w pełną lęku wpadamy zadumę,
Mignie nam w wnętrzu wspomnienie jej lica:
I ból, przez poły uciszon, dosięga
Szczytu — i potem gorzko zawodzimy...
Musimy słuchać, bo oto niejedna,
Dziś na niebiesiech rozniecona gwiazda,
Jak piętno złego, pali nasze serca.

PIERWSZY KUPIEC. Gdy ten ostatni worek złota w leśnej
Spocznie chałupie, palić was przestanie...
Idźcie...

(Ochodzą, z nimi razem znikają widma i ogniki.)

Kazałem pójść im; samotnicze
Są to istoty, gdy kogoś żywego
Zobaczą, zaraz zawodzą.

(Wskazując na kaplicę.)

Cyt, bracie,
Szmer jakiś słyszę, który mnie przestrasza.

DRUGI KUPIEC podchodzi ku drzwiom kaplicy i zagląda do wnętrza.
Księżniczka to się ruszyła, szepcząca
We śnie urwane swoje Ojciec-nasze.

(PIERWSZY KUPIEC podchodzi do drzwi i staje.)

Znowu jest cicho.

PIERWSZY KUPIEC. Wielki plan mi błysnął
W duszy — nie dziwy: wszak ci z dziewiątego,
Najmoźniejszego wywodzę się piekła,
Kędy są wszyscy jako króle... Ze snu
Zbudzę księżniczkę i w koło jej myśli
Myśl jeszcze jedną wtrączę — myśl służenia.

(Woła przez drzwi.)

Pamiętaj o mnie w swoich modłach, pani!
(**KSIĘŻNICZKA KASIA** budzi się i zbliża ku drzwiom kaplicy. **KUPCY**
schodzą do sali. **KSIĘŻNICZKA KASIA** stoi na najwyższym stopniu ka-
miennych schodów.)

KSIĘŻNICZKA KASIA. Czego żądacie?

PIERWSZY KUPIEC. Jesteśmy dwaj kupcy.
Z obcych idziemy krajów — z nowinami.
Wybacz nam, pani, żeśmy tutaj weszli
Tak niespodzianie: wielka brama zamku
Była otwarta — weszliśmy, by spotkać
Twarz jakąkolwiek.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Brama dworca mego
Zawsze otwarta, by przyjąć gościnnie
Lud, mrący z głodu, i wszystkich, co pragną
Przed tym straszliwym schronić się tu czasem.
Jakież, kupcowie, macie wy nowiny?

PIERWSZY KUPIEC. W łąkach Allańskich spotkaliśmy człeka
Ledwie żywego, któremu kazałaś

Skupować bydło, a zaś niedaleko
Fair Head twe statki widzieliśmy w ciemnej,
Bezwietrznej nocy: stały nieruchome,
A nieruchome, jak statki, płonęły
W milczącym morzu światełka ich latarni.

KSIEŻNICZKA KASIA. Dziękuję Bogu, Maryi i aniołom,
Że mam tu jeszcze dosyć worków złota
Na kupno mąki, którą w swych śpichlerzach
Nagromadzili kupcy, aby zyskać
Na głodzie biednych. Jesteście z daleka,
Świadomi znaków czasu: kiedyż wreszcie
Po naszych polach czołgać się przestaną
Zółte wyziewy? Kiedyż ta zabójcza
Przejdzie posucha i kiedyż znów trawa
Zielone swoje ujrzy źdźbła?

PIERWSZY KUPIEC. Dni idą,
A zmian nie widać; zboże wyniszczało,
Chudoba padła lub pada, wyziewy
Wciąż jeszcze wiszą nad ziemią, choroby
Niosąc i paląc spiekotą.

KSIEŻNICZKA KASIA. Powiedzcie:
Co słyszeliście w świecie o demonach,
Zakupujących dusze?

PIERWSZY KUPIEC. Jedni mówią,
Że to są twory z wilczemi głowami

I że ich członki mają szybkość burzy,
W przeustawicznym wysuszone ogniu.
Inni dowodzą znów, że są postaci
Nizkiej a grubej; ten i ów zaś twierdzi,
Ze mu się zdali czemś więcej, niż ludźmi,
Ze są wysocy, smagli, z piętnem znoju,
Tak, jak my, pani. Lecz wszyscy się godzą
W jednym: że wzrok ich taką ma potęgę,
Iż łamie ludzi i sieć im zarzuca
Na te ich dusze, i że wszyscy ludzie
Gotowi sprzedać swe biedne płomyki,
Swe wątle dusze, tylko że ty, pani,
Umiesz je swoim przekupywać złotem.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Dziękować Bogu, Maryi i aniołom,
Zem jest bogata... Dlaczego sprzedają?

PIERWSZY KUPIEC. Owi demoni płacą sto i więcej
Koron za jedną niepokalną duszę,
Podobną duszy człowieka, co leży
U bramy zamku, w izbie odźwiernego.
Licha to dusza, nie warta stu groszy.
Ale za dusze, równe twojej, pani,
Słyszę, że płacą pięćkroć sto tysięcy
Koron i nad to.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Jak można za kupę
Złota oddawać duszę? Czyż mogiła
Jest czemś tak straszmem?

PIERWSZY KUPIEC. Jedni ją sprzedają,
Ponieważ pieniądz się błyszczy, a inni,
Ponieważ czują przestrach przed mogiłą;
Inni dlatego, że ich sąsiadowie
Sprzedali przedtem; inni, że jest pewna
Radość w rzuceniu nadziei, w utracie
Wszelkiej radości, w zbyciu się oporu,
W otwarciu ramion płomieniom wieczystym,
W puszczeniu na wiatr wszystkich, wszystkich żagli.
Gdy się wyczerpie twoje złoto, pani,
Z radością wielką wszyscy pójda w targi.

KSIEŻNICZKA KASIA. We waszym głosie słyszę coś, kupcowie,
Co mnie przeraża. Kiedyście mówili
O owych ludziach, którzy swoją duszę
I swego Boga oddają za złoto,
Zrenice wasze płonęły, od razu
Znikło też dziwne zmęczenie, widoczne
Na waszej twarzy. Przebaczcie, kupcowie,
Ale mówiący, że marnem mem złotem
Służę ludowi, mieliście, zda mi się,
Uśmiech na twarzy.

PIERWSZY KUPIEC. Tylko z grzechów ludzkich
My się śmiejemy. Tyleśmy widzieli
Krajów i tyle rozmaitych ludzi —
Cóż w tem dziwnego, że wszystek ten ludek
Zawisnął sobie, niby na sznureczku

Od niewieściego trzewika, nad stosem
Wiecznych płomieni?!...

KSIĘŻNICZKA KASIA. Jest w was coś takiego,
Co w lęk mnie wprawia, coś, czego my, ludzie,
Nie posiadamy. Może pochodzicie
Z najodleglejszych jakichś części świata?

(**DRUGI KUPIEC**, który nadsłuchiwał pode drzwiami po prawej stronie,
podchodzi ku przodowi sceny, a podczas tego, po lewej, słychać głosy i kroki
ludzkie).

DRUGI KUPIEC na stronie do **PIERWSZEGO**.

Są już u wejścia. Idźmy stąd. Gotowi
Jeszcze nas poznać i serca nam zmrozić
Swemi zdrowaśki lub skórę nam spalić
Święconą wodą.

PIERWSZY KUPIEC. Zegnaj nam. Musimy

Niejedną milę przebyć przed porankiem.
Wierzchowce nasze już tam biją ziemię
Z niecierpliwości.

(Ochodzą na prawo. W tej samej chwili wchodzi przeciwnymi drzwiami
grupa wieśniaków.)

KSIĘŻNICZKA KASIA. A czego wy chcecie?

WIEŚNIAK. Pani, kucnąwszy przy wiatrze i stare

Opowiadając klechdy, słyszeliśmy
Naraz jakowyś brzęk, jakby na ziemię
Upadł czerwieniec. Szukamy, daremnie.

KSIEŻNICZKA KASIA. Zbyt wy strachliwi, ja nic nie słyzałam.

STARY WIEŚNIAK. Tak, my strachliwi, bo jedno człowieka

Możnego słowo może nas wyrzucić
Z naszej zagrody, a miesiąc posuchy
Spalić doszczętnie wszystkie oziminy
Na naszym płonym gruncie: wichrów, gradów,
Burz i powodzi myśmy niewolnicy;
Na targowiskach strach nam skręca łokcie
I tuż za nami siada przy kominku.
A złe przeczucia tak są nieodstępne
Od nas, jak kucie w drzewie od dzięciołów.

KSIEŻNICZKA KASIA.

O złych przeczuciach nie mówcie w tym domu.

(OONA wchodzi dzwiami z lewej strony.)

OONA. Ktoś się nam włamał do skarbcza! nieszczęście!

Drzwi są otwarte, a złoto skradzione!

(Wieśniacy zaczynają lamentować.)

KSIEŻNICZKA KASIA. Nie lamentujcie!

(Płacz ustaje.)

Widział tu kto kogo?

OONA. Że też ma dobra pani utraciła

Wszystko swe złoto! Nieszczęście! Nieszczęście!

KSIĘŻNICZKA KASIA. Wy trzej po mojej prawicy, dosiądźcie
Koni i cwałem w drogę! Dam zagrodę
Temu, kto schwyci złodzieja.

(Podczas jej słów wchodzi na scenę człowiek z kluczami u pasa.)

ODŹWIERNY. Zaprawdę,

Niesamowite dzieją się tu sprawy —
Złe duchy były! Siedziałem przy bramie
W mojej kamiennej budce, gdy tuż obok
Dwa przeleciały puszczyki, szepczące
Ludzkimi głosy.

STARY WIEŚNIAK. Bóg zapomniał o nas.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Stary człowieku, nigdy On nie zawarł

Bramy, jeżeli nie otworzył drugiej.
Jestem w rozpacz, bo budzi się we mnie
Plan wielce smutny: ale ja mam wiarę — —
Przestańcie płakać, starzy moi ludzie —
Nie zapomina On świata, lecz ciągle
Lepi go w glinie, lepi na swój obraz
I podobieństwo. Wieki za wiekami
Głina buntuje się przeciwko Jego
Palcom, bój ciągły tocząc o swój stary,
Ciężki, ponury i bezkształtny spokój...
Czasem się skręci i skurczy, i wówczas
Lud jakiś pada — dziś się wykręciła
W stronę przeciwną i powstały hufce
Duchów piekielnych.

(WIEŚNIACY się żegnają.)

Zostawcie mnie samą,
Bo smutna jestem — słyżę jakieś wrzenie,
Jakby się zbliżał piorun.

(Schodzi od drzwi kaplicy na dół.)

Nie, zostańcie
Jeszcze chwileczkę. Gdy się znów spotkamy,
Obym wam dała zapomnienie klęski!

(Do OONY).

Weź te dwa klucze — ten jest od śpichlerza,
Ten od szafarni.

(Do STAREGO WIEŚNIAKA).

A wam, mój staruszkę,
Daję ten kluczyk. Otwiera komorę,
Gdzie leżą zioła lekarskie: rumianek,
Babka, żywokost, tyśięcznik i inne —
Na górnej półce książka z przepisami,
Znacie się na tem: niegdyś leczyliście
Kozy i bydło.

STARY WIEŚNIAK. Cóż to znaczy, pani?!
Czyżbyście we śnie widzieli swą trumnę?

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Nie, nie! w mem sercu smutny plan się budzi:
Wielki słyżęłam płacz w rozlicznych chatach —
Muszę, tak, muszę iść, choć nie wiem, dokąd.
A wy się módlcie za ten naród biedny,

Ginący z głodu, módlcie się, wy dobrzy

Moi sąsiedzi.

(WIEŚNIACY kłękają. KSIEŻNICZKA KASIA wchodzi znowu w bramę kaplicy i, odwróciwszy się, stoi chwilę bez ruchu, potem wybucha krzykiem.)

Królowo Anielska,

Żegnaj! Żegnajcie, hufce hufców świętych!

ZASŁONA.

AKT TRZECI.

Izba SZEMUSA RUY. OBAJ KUPCY siedzą przy jednym i drugim końcu stołu. Przed nimi zwoje pergaminów i wielka ilość małych sakiewek z pieniędzmi.

PIERWSZY KUPIEC. Już nas ta pani okradać nie będzie —
Niema nic więcej, prócz myszy, w jej skrzyniach.

DRUGI KUPIEC. Ostatniej nocy, przedzierzgnięty w sowę,
Na Donegalskie pofrunąłem turnie
I tam, na stromem usiadłszy urwisku,
Ujrzałem statki, wiozące ludowi
Zboże i mąkę. Za pięć dni tu będą.

PIERWSZY KUPIEC. Ja, szarej sowy wzięwszy na się postać,
Mknąłem i mknąłem w mrokach ku wschodowi
I tam spostrzegłem, jak sto ciężkich wołów
K'nam żelaznemi poganiano kijmi.
I one, bracie, za pięć dni tu staną.

DRUGI KUPIEC. Pięć dni na handel.

(Podczas ich rozmowy weszli do środka wieśniacy, prowadzeni przez Teiga i Szemusa, którzy, stanawszy po obu stronach drzwi, czynią porządek w tłumie, od czasu do czasu dodając ludziom odwagi gestami i szeptami.)

Cisną się i cisną...

Od dnia posuchy tak się tu gromadzą,
Jak liść jesienny, który głuche wiatry
Zwiewają w kupę...

Handel! handel! handel!

PIERWSZY KUPIEC. Któż z nami zechce pohandlować?

SZEMUS.

Panie,

Brak pożywienia obrał ich z odwagi,
Prócz czterech, pięciu... Masz tutaj jednego —
Czas i na innych przyjdzie, że nabiorą
Ducha.

MĘCZYZNA W ŚREDNIM WIEKU.

Ja — owszem, lecz za dobrą cenę.

PIERWSZY KUPIEC czytając w pergaminie.

Dżon Maher, człowiek bogaty, o zmysłach
Tępych, spokojnych, uległego serca.
Pewnym jest w oczach aniołów... Dam dwieście,
Dwieście za duszę, marne tchnienie wiatru.

MĘCZYZNA. Chcę trzysta koron... Czytaliście właśnie,

Łż żadna kłeska nie uczyni ze mnie
Waszego sługi.

PIERWSZY KUPIEC. Tu coś więcej stoi.

„Często po nocy budzi się z przestachu,
Aby nie zostać biednym“... To jest twoje
Niedomaganie... Dwieście koron?

(MĘŻCZYŻNA liczy pieniądze i odchodzi.)

DRUGI KUPIEC.

Handel!

Zdaje się niemal, że niema w was duszy —

Chyba jedynie na wiarę parafii.

Handel! hej, handel!... Czy wolicie umrzeć?

Żyła tu przedtem kobieta, nie chciała

Iść z nami w targi i zmarła — w czerwonych

Spoczywa kwiatach, ze świeczkami wokół,

Powtykanemi w butelki.

KOBIETA.

A jaką

Dacie też cenę za moją?

PIERWSZY KUPIEC.

Ej, piękna,

Wdzięczna i młoda — sędzę, że nie dużą.

(Czyta w pergaminie.)

Listy miłosne chowa w małym dzbanku,

W górze, na murku, pomiędzy klepsydrą

A garnkiem pieprzu.

KOBIETA.

Przeklęty pergamin!

PIERWSZY KUPIEC czyta. Chowa je pilnie przed oczyma męża,

Który pojechał zakupywać konie

I nie powrócił... Jesteś pewna! damy
Koron pięćdziesiąt.

(KOBIEȚA zabiera się ku wyjściu.)

Damy setkę.

(KOBIEȚA bierze pieniądze i znika w tłumie.)

Handel!

Handel! hej handel! Tylko z miłosierdzia
Zakupujemy te dusze. Tysiące
Przeróżnych grzechów oddało je w ręce
Naszego Pana, nimeśmy tu przyszli.
Snadź gotowicie umierać, dopóki
Jeszcze wam kości świecą poprzez skórę.
Chodźcie na handel — albo czyż wolicie
Żyć pokrzywami, szczawiem i jarmużem?
Lub czy mniemacie, że głód się wyczerpie?
Zdrów on i czerstwy, nasz on i naszego
Przemocarnego władcy! nie ustąpi,
Dopokąd swego nie dobieży celu.
On to pokrywa żółtymi wyziewy
Te wasze pola wyschnięte, zraty
On je straszniemi napełnia widziadły
I coraz groźniej z każdą rośnie chwilą.
Patrzcie, jak ściemnia światło dnia... Czyż spokój,
Drapieżnym ptakom znan, jest czems tak straszniem?
One — i wszystkie naszemu władcyce
Posłuszne dusze, i te, które żyją
Z tym drugim wielkim duchem, osiągnęły

Cel swego bytu, spokój, kiedy wami
Jak gdyby jakieś rzucało wahadło.

(Wchodzi ALEEL z potarganemi u harfy strunami.)

ALEEL. Weźcie mą duszę; jestem nią umęczon!
Nie chcę zapłaty!

PIERWSZY KUPIEC czyta. Pieśniarz... On sam jeden
Miał umysł zwrócon ku strygom i chochłom,
Ku opowieściom o przebojach Fenian,
Ku onym królom Czerwonego Szczepu,
O życie ludzi wzdyc się nie troszczący...
Dziś się to wszystko zmieniło...

ALEEL. Ponieważ
Nie odstępuję mnie jej lico blade,
Księżniczki Kasi lico... Smutek świata
Siadł na jej czole: nazbyt mnie krępować
Poczęły więzy jej skargi, dlatego
Porwał te więzy!... Zabierzcie mą duszę!

PIERWSZY KUPIEC. Wziąć nie możemy, bo należy do niej.

ALEEL. Weźcie ją! weźcie!... Pomódz jej nie mogę,
I to mnie dręczy...

PIERWSZY KUPIEC. Nie, nie, my nie chcemy.

ALEEL. Czyż tak już nikłą ta wasza potęga —?
Wszystkie dni moje dźwigać mam ten ciężar?
Niechaj was moje pochłonie szyderstwo!

PIERWSZY KUPIEC. Weźcie go precz stąd; on mi na zawadzie!

(TEIG i SZEMUS wyprowadzają ALEELA pomiędzy tłum.)

DRUGI KUPIEC. Wzrok jego, bracie, napęłnił mnie dreszczem
I strasznym lękiem.

PIERWSZY KUPIEC. Nachyl się, pocałuj

Tę moją obręcz, na której spoczęły

Wargi naszego Mistrza oną chwilą,

Kiedy nas słał tu... Odzyskasz znów spokój.

(DRUGI KUPIEC całuje złotą obrączkę, okalającą głowę pierwszego kupca.)

SZEMUS. Nazwisko jego Aleel, stracił zmysły

W ostatnich czasach, lecz niemasz w nim złości.

Szał jego minął, można być z nim razem

I tak go wodzić, jak dziecko.

PIERWSZY KUPIEC. Hej! handel!

Handel! hej handel! Czyście wy pogłuchli?

SZEMUS. Opowiadają, żeście zbyt niżyli

Cenę za ową kobietę...

PIERWSZY KUPIEC. Więc teraz

Ofiarowuję wielki grosz — zważajcie:

Dam tysiąc koron za starą kobietę,

Co brzydką była przez całe swe życie.

(STARA WIEŚNIACZKA staje na przedzie sceny, a on rozwija pergamin
i czyta.)

Mało jest o niej tutaj napisano:

Kradła czasami drób, jeśli ją żniwa
Kiedy zawiodły — lecz dwakroć na tydzień
Szła do kaplicy, gdy się poszczęściło,
I tam składała ofiarę... Bierz pieniądze.

STARA WIEŚNIACZKA z ukłonem. Bóg wam błogosław, Pani!

(Zaczyna lamentować.)

Panie! panie!

Ból straszny czuję.

PIERWSZY KUPIEC. Imię, któreś rzekła,
Dla potępionych jest jak ogień. Precz stąd!

(WIEŚNIACZKA odchodzi.)

Patrzcie, jak płoną te złote czerwienie!
Handel! Czyż lęk wam, że ta wiedźma stara
Nieczo narzeka? Czyście wszyscy tchórze!?

WIEŚNIAK. Nie jestem tchórzem, chcę sprzedać pół duszy.

PIERWSZY KUPIEC. Jako pół duszy?

WIEŚNIAK.

Pół moich widoków

Pójścia do nieba.

PIERWSZY KUPIEC. Napisano tutaj:

Człek ten we wszystkim szedł pośrednią drogą —
Zajął sam środek wahadła. Nikt odeń
Nie doznał złego ni dobrego... Odejdź!
Nie chcę nabywać twojej duszy.

DRUGI KUPIEC.

Handel!

Handel!

PIERWSZY KUPIEC. Co? chcecie wstrzymywać nas zdala

Od naszych włości? Od wiecznej rozkoszy?

Hej! skończcie handel, a my do naszego

Odejdziem Pana... Handel! handel! handel!

KRZYK WIEŚNIAKÓW.

Księżniczka Kasia! Jest księżniczka Kasia!

KSIEŻNICZKA KASIA wchodzi. **Wciąż handlujecie?**

PIERWSZY KUPIEC.

Tobie na przekorę!

Poco tu przyszłaś, szafirowooka

Święta?

KSIEŻNICZKA KASIA. Chcę moją zaprzedać wam duszę

Za wielką cenę.

PIERWSZY KUPIEC. Jeśli warta ceny?

KSIEŻNICZKA KASIA. Lud ginie z głodu, dlatego się tłoczy

Ku wam. Słyszałam jego krzyk i krzyk ten

Wciąż mi brzmi w uszach — dzień i noc: chcę koron

Pięćset tysięcy, aby ich wyżywić,

Póki nie przejdzie czas posuchy; nadto,

Jeśliście znęcić umieli te biedne

Dusze czerwieńców swych brzękiem, ja pragnę

Wykupić wszystkie i zwrócić je Bogu.

Swoją chcę sprzedać wam duszę!

WIEŚNIAK.

Przenigdy!

Nie czyni nam tego. Dusze biednych ludzi
Nie mają ceny tak wielkiej przed Bogiem,
Jaką ma, pani, twoja dusza. Pani!
Cóżby bez ciebie czyniły niebiosą?

INNY WIEŚNIAK.

Patrz, jak im szpony kurczą się w skórzanych
Tych rękawicach.

PIERWSZY KUPIEC. Pięćkroć sto tysięcy!

Damy tę cenę! Jest złoto! Gdy z nami
Rozmawiasz, pani, dusze się zwracają
Ku wysokościach, bo oblicze twoje
Wielką rozsiewa naokoło światłość,
Migotliwymi napełnia blaskami
Serca tych ludzi, a dzięki tym blaskom,
Mogłaby zmarnieć nasza ciężka praca —
Ponad głębiami Onby się mógł ruszyć
I nam odebrać te dusze. Do dzisiaj
One naszemi były-li przez poły,
Gdyż przenikały je na wskrós twe jasne,
Promienne oczy, rabując im szczęście
Zadowolenia. — Lecz podpisać musisz:
Taką kupując duszę, jak twa, pani,
Formy pominąć nie możemy. Podpisz
Tem oto piórem — pochodzi od kura,
Co zapiał ongi, kiedy Piotr się zaparł

Swojego Mistrza. Kto zaś pióra tego
Użył, ten w piekle w wielkich jest honorach.

(KSIEŻNICZKA KASIA nachyla się, aby podpisać pergamin.)

ALEEL wpada na przód sceny i wrywa jej z rąk pergamin.

Wielkiego wodza zaznać masz miłości —
Gromada dzieci winna igrać, pani,
Wokół twych kolan! Zostaw tych wieśniaków
Stworzycielowi niebios!...

KSIEŻNICZKA KASIA. Jam bez myśli — —
Krzyk tylko słyszę — krzyk tych biednych ludzi.

ALEEL rzuca pergamin na ziemię. Miałem widzenie pod kępą dzikiego
Bzu i leszczyny: że mamy usłyszeć,
Jak Archanioły toczyć będą próżną
Czaszkę szatana grzbietem gór!

PIERWSZY KUPIEC. Precz! Precz z nim!

(TEIG i SZEMUS wypychają go tak szorstko, że ALEEL pada w tłumie
na ziemię.)

KSIEŻNICZKA KASIA podnosi pergamin i, podpisawszy go, zwraca
się do tłumu. Bierzcie pieniądze; teraz chodźcie ze mną.
Zdała od tego skażonego miejsca
Dam z was każdemu czerwieńców do syta.

(Wychodzi; tłum wieśniaków otacza ją i całuje po rękach. ALEEL i OBAJ
KUPCY pozostali sami.)

DRUGI KUPIEC. Skończone tedy dni naszego trudu.

PIERWSZY KUPIEC. Kosztowny dzisiaj zdobyliśmy klejnot
Dla dyademu szatana.

DRUGI KUPIEC. Musimy
Iść stąd i czekać, dopóki nie umrze,
Ponad jej zamkiem w postaci puszczyków
Czuwać będziemy jeszcze rok niejeden
I strzedz naszego klejnotu, aż przyjdzie
Chwila zabrania jej duszy.

PIERWSZY KUPIEC. Nie. Poco?
W powietrzu tylko zawisniemy nad nią,
Bo na minuty liczy się jej życie.
Gdy tu przybyła, spostrzegłem w jej oczach
Pomrok mogiły, i stopy jej ciężkie,
Niby obute w trzewiki z ołowiu;
Wzrok jej tkwił w ziemi, jak gdyby robactwo
Już ją wzywało ku sobie; a kiedy
Podpisywała swe imię, jej serce
Jęło się łamać... Cicho!... Cicho... Słyszę
Bramy piekielne skrzypiące w zawiasach:
Idzie k'nam odgłos wieczystej biesiady,
By nas pokrzepić.

DRUGI KUPIEC. A teraz na skrzydłach
Wzbijmy się, bracie, w powietrzne przestwory,
By wśród nich w szpony pochwycić jej duszę.

(Ulatają w górę. ALEEL czołga się w środku izby. Zapadł mrok, i ciemność na ziemi wzrasta stopniowo. — Słychać daleki grzmot i odgłos zrywającej się burzy.)

ALEEL. Bramy spiżowe otwarte na oścież —

Balor na grzmiącym zjawia się rydwanie,
Demoni ciężkie podnieśli powieki
Nad źrenicami, które w dniach pradawnych
W głązy zmienili bogowie. Zdradziecki
Jawi się Barach i chutnego rodu
Idzie Kailitin, on, co druidyczny
Przekwit i zanik spuścił był na dziecię
Sułtamowe i Dektery (pierwszy
Król Hell go znowu wywyższył, zabiwszy
Naisiego i srogo złamawszy
Serce Deirdry), — a wszystkie ich głowy
Ku teźże samej zwracają się stronie,
Z życia bowiem zwalczały z uporem,
Z niehamowaną, chytrą zaciekłością,
Piękno i spokój.

(Wchodzi OONA; zatrzymuje się jednak we drzwiach.)

ALEEL podniósł się w połowie do góry, kolanem i ręką opierając się o ziemię. Klęknij, stara czapło,
Zdała od ślepej nawałnicy.

OONA.

Gdzież jest

Księżniczka Kasia? Gdzie? Przez dni te wszystkie
Była tak blada, a ręka jej — czułam —

Drżała, spotkawszy przy kądzieli moją —
I teraz nie wiem, dokąd poszła.

ALEEL.

Innych

Ma już księżniczka przyjaciół — tak, innych,
Przemieszkujących w tym straconym świecie.

(Wskazuje na dół.)

Oto Orchila, naprzód; blada, piękna,
Lice jej żyje, a ciemna jej postać
Do mgieł podobna, gdy się nagromadzą
W porze jutrzennej, bo tej, co umiała
Rozbudzać żądzę, serce li się krwawi,
Podczas gdy drudzy konają. Naokół
Mgławą ma ciżbę kobiet, głośnym śmiechem
Przywabiających szatany, za sobą
Straszne wypary krwi, zmienionej w grzechy,
Tylko te wszystkie, białe jak gwoździki,
Drobne paznogie wyrosły w ogromne
Szpony.

(Chwyta OONE, ciągnie ją na środek sceny i gwałtownym ruchem wskazuje na dół. Szum wiatru.)

Już swoje zaczynają pieśni —
Wciąż na ich wargach brzmi jakaś melodya.

OONA rzuca się twarzą na ziemię.

O Twórco świata! chroń ją od demonów!
A jeśli trzeba zginąć jakiej duszy,
To zabierz moją!

(ALEEL klęka obok, ale zdaje się słów jej nie słyszeć; wzrok utkwil w ziemię, jakby chcąc ją przebić. Wieśniacy wracają. Niosą księżniczkę Kasię i kładą ją na ziemi pomiędzy Ooną i Aleelem. Leży jak umarła.)

OONA. Że też tyle naczyń
Z surowej gliny trwa, a porcelana
Pęka na dwoje.

(Całuje ręce KSIĘŻNICZKI KASII.)

WIEŚNIAK. Byliśmy pod drzewem,
Tam, gdzie się skręca droga, gdy księżniczka
Zbladła i nagle zasłabła. A gdyśmy
Nieśli ją tutaj, czarna nawałnica
Przyćmiła przestwór, prawie z nóg nas wałąc.
Trzeba zasunąć zaporę, bo żaden
Śmiertelny człowiek nie oprze się czarnej,
Oślepiającej, groźnej, nagłej burzy.

(Jeden ze stojących bliżej zasruwa zaporę.)

OONA. Sza! sza! zbudziła się z omdlenia.

KSIĘŻNICZKA KASIA. Ludzie,
Trzymajcie, proszę, trzymajcie mnie mocno,
Bo nawałnica porwie mnie.

(OONA bierze ją w ramiona. Jedna z kobiet zaczyna zawodzić.)

WIEŚNIAK. Sza!

INNY WIEŚNIAK. Sza!

WIEŚNIACZKA. Sza!

KSIEŻNICZKA KASIA nawpół się podniosłszy.

Do stóp mi złożcie wszystkie worki złota!

(Kładą jej woreczki z pieniędzmi pod stopy.)

Idźcie, starego sprowadźcie Neala,

Niech on, gdy umrę, każdego wysłucha

I sprawiedliwie rozsądzi i rozda...

On was ziołami leczy, wie najlepiej,

Kto jest w największej pośród was potrzebie.

WIEŚNIACZKA na tyłach tłumu.

A czy mi dosyć wydzieli, bym mogła

Wyżywić dzieci, aż przejdzie posucha?

INNA WIEŚNIACZKA. Królowo niebios i wy wszyscy Święci,

Zgubcie nas wszystkich, byle tylko księżna

Mogła ocaleć.

KSIEŻNICZKA KASIA. Nachylcie się ku mnie,

Ty, moja Uno, i ty też Aleelu:

Spoglądam na was jako ta jaskółka

Na swoje patrzy gniazdo pod okapem,

Nim ponad grzmiące tonie wód uleci...

Przeście plakać tak gorzko, wszak tutaj

Została jeszcze na wielkim ołtarzu

Niejedna świeca, choć jedna upadła.

Aleelu, bracie! Ty, który śpiewałeś

O dawnym rodzie, nieznającym troski

Naszego świata, mającym li tchnienie

W swoich powiewnych kształtach, bądź mi zdrowy!
Zegnaj mi, Uno, coś len przedła ze mną,
Słodka, jak sen ich po skończonych płasach:
Burza mi siadła we włosach, czas odejść.

(Umiera.)

OONA. Podajcie mi tu zwierciadło.

(Jedna z wieśniaczek przynosi jej lusterko z izby. OONA trzyma je nad wargami KSIĘŻNICZKI KASL. Cisza na chwilę — potem przytłumiony okrzyk OONY.)

Umarła.

WIEŚNIACZKA. Była na świecie wielką, białą lilią.

INNA WIEŚNIACZKA. Piękniejsza była ode gwiazd poblądłych.

STARA WIEŚNIACZKA. Złamane kwiecie, które tak kochałam!

(ALEEL bierze zwierciadło z rąk OONY i rzuca je o ziemię, rozbijając na drobne kawałki.)

ALEEL. Rozbiłem cię, bo niema już lica,
Co napełniało cię pięknnością: zamrzyj
I ty, me serce, albowiem już poszła
Ta, której słowo, nasycone smętkiem,
Czyniło z ciebie żyjącego ducha,
Podczas gdy dzisiaj jestem już zmartwiałą
Gliną pożądań. A ty, dumna ziemio,
I rozpięzione ty morze, zagińcie!

Nie usłyszycie już więcej jej błędnych,
Samotnych kroków, zostaniecie same
Wśród głośnego boju archaniołów
Z hucem szatanów.

(Wstaje, reszta klęczy, atoli na ziemi taka panuje ciemność, że nie można
rozcznać ich kształtów.)

A ja, który płaczę,
Ja was przeklinam, ty, Czasie, ty, Zmiano!
Ty, Przeznaczenie! i żadnej nie żywię
Innej nadziei, prócz tej, abym wielkiej
Doczekał chwili, kiedy was na głowę
Strączę w bezdenne przepaście.

(Błyskawica, w ślad za nią grom.)

WIESNIACZKA. Niech klęknie,
Nim jego klątwa ściągnie nam na głowy
Łyski i gromy.

ALEEL. Anioły i czarty
Walczą w przestworach; to miecze spiżowe
Tak o spiżowe uderzają hełmy.

(Błyskawica, w ślad za nią grom.)

Szeroki oszczep, wyrzucon z rzemieńca,
Na wskroś tam przekłuł zrenicę Balora,
I ciemny zastęp rozpierzchnął się, jęczący,
Jak ongi pierzchał z brzegów Moytury.

(Pochłaniająca wszystko ciemność.)

STARZEC. Wszchemoc, za nasze rozgniewana grzechy,

Zatraca świat nasz, i wnet już pomrzemy.

(Widziadłana światłość rozprasza ciemności. Wieśniacy zdają się klęczeć na skalistym urwisku góry; mgły nawałnicowe, od czasu do czasu przerywane światłem, otaczają ich i płyną poza nimi. Nawpół w świetle, nawpół w mroku stoją aniołowie w zbrojach. Zbroje ich stare i zużyte, miecze ich czarne i poszczerbione. Stoją, niby w szyku bojowym, i surowo patrzą na dół. Wieśniacy rzucają się na ziemię.)

ALEEL. Przestańcie patrzeć na te wpół otwarte

Wierzeje piekieł, mówcie raczej do mnie,

Którego serce tak przejęte Bogiem,

Że już o ziemskich nie chce myśleć sprawach —

Mówcie mi o tej, która tutaj leży.

(Chwyta jednego z aniołów.)

Nie prędzej wrócisz w krainę wieczności,

Aż gdy przemówisz.

ANIOL. Światłość pada na dół —

Bramy perłowe otwarte na oścież,

A ona poszła w przybytek pokoju;

Maryja z sercem po siedmkroć przebitem,

Pocałowała jej wargi, a święte

Włosy spłynęły na jej twarz; pobudki

Rozważa Światłość Światłości, nie czyni —

Mrok mroków tylko z czynami się liczy.

(ALEEL puszcza ANIOŁA i klęka.)

OONA. Powiedz chodzącym w przybytkach pokoju,

Że pragnę umrzeć i odejść już do tej,

Którą tak kocham; lata, niby wielkie
Czarne bawoły, stąpają po ziemi,
Bóg niby skotarz pogania je z tyłu,
A mnie ich ciężkie zdeptały kopyta.

(Coś, jak gdyby głos surmy, dobywa się z wnętrza światłości. Widzenie rozplywa się powoli, w ciemnościach słabo się rysują postacie kłęczących wieśniaków.)

ZASŁONA.

PRZYPISKI AUTORA DO „KSIĘŻNICZKI KASIA”.

KSIĘŻNICZKA KASIA. (The Countess Cathleen.) W poemat niniejszy włączyłem legendę, tak jak ją podają „Baśnie i podania ludu irlandzkiego“ („Fairy and Folk Tales of the Irish Peasantry“), na wiarę, że jest to rodzime, starodawne podanie irlandzkie. Potem słyszałem jednak, że rodowód jej jest późniejszy.

Wydawca „Folklore’a“ zwrócił się w swem piśmie z prośbą o informacje co do wariantów, pochodzenia i t. d. tego podania, lecz bez skutku. Jedyne znane mi podanie, do mego podobną przedmiotu, znalazłem w Larmin’ego „West Irish Folk Tales“ (Podaniach zachodnio-irlandzkich) — o matce, która na lat siedm poszła do piekła, aby odkupić duszę swego syna, a potem została jeszcze lat siedm dla odkupienia innych dusz.

ADENE (Etain.) Słynna królowa legendarna, którą uprowadził Meder, król chochlików.

BALOR, dowódca ciemnych zastępów w wielkim boju Dobrego i Złego Życia i Śmierci, Światła i Ciemności, stoczonym na wybrzeżach Moytury w pobliżu Sligo.

BARACH (Borrach.) Barach wywabił **FERCUSA** na biesiadę, aby w jego nieobecności pomordować synów **USNY**. Fergus, związany przysięgą, że nigdy nie odmówi udziału w jego ucztach, zmuszony był pójść — wbrew swojej woli.

CAILITIN. Druid Cailtín i jego synowie zwalczali Cuhoollína czarno-księską sztuką.

CONHOR (Concobar) był królem Wszehirlandyi w okresie królów „Czerwonego Rodu“.

CUHOOLLIN, wielki bohater z cyklu „Czerwonego Rodu“.

DANAAN (Tuath de Danaan) oznacza Ród Bogów Danu. Były to potęgi światła, życia i ciepła, i walczyły z FOMOROHAMI, t. j., potęgami nocy, śmierci i zimna. Z czasem, gdy je przestano czcić i składać ofiary, malały stopniowo w wyobraźni ludu, aż w końcu zeszyły do kategorii chochlików etc.

DECTERA (Dechtera), matka CUHOOLLINA.

DEIRDRE, bohaterka jednej z najpiękniejszych legend gaelickich. Kochał ją Concobar, ona uciekła od niego z Naisim, została jednak w zdradziecki z powrotem ujęta sposób. Jest to smutna a piękna kobieta z cyklu „Czerwonego Rodu“, tak jak GRANIA jest smutną a piękną kobietą z cyklu o Fenianach.

FENIANIE, wielki zakon rycerski, na którego czele stał FINN.

FERGUS — pieśniarz cyklu „Czerwonego Rodu“, tak jak OISIN cyklu legend o Fenianach. Był królem Wszehirlandyi i, jak opiewa podanie, opracowane przez Samuela Fergusona, zrzekł się tronu, aby mógł swobodnie polować po lasach.

HELL (Piekło). W dawniejszych podaniach irlandzkich piekło zawsze jest zimne, być może dlatego, ponieważ Fomorohy, potęgi zła były władcami północy i zimy. Chrześcijaństwo starało się, o ile możliwości zastosować do wierzeń swoich, w Irlandyi tak samo, jak i gdzieindziej, symbole pogańskie, a poeci irlandzcy, śpiewający o „zimnej posadzce piekła“, powtarzali symbole pogańskie. W opowieściach ludu i w Keating'a opisie piekła spotykamy się, mimo to, także ze zwykłym symbolem ognia.

MAIVE, Słynna królowa z cyklu „Czerwonego Rodu“. Według podania, pochowana została w kamiennym grobie na Knocknarea. Ferguson mówi o „muszlowym grobie Maivy na szczycie Knocknaree“, grób ten atoli jest z kamieni.

ORCHIL. Fomoroh i czarownica, o ile dobrze sobie przypominam.
Zresztą, zapomniałem wszystko, com o niej wiedział dawniej.

POOKA, duch, który przedzierzga się raz w psa, raz w konia, raz
w osia lub orła.

SUALTAM, ojciec Cuhoollina.

USNA, ojciec NAISIEGO, kochanka Deirdry, oraz Ardana i Ainlego,
jej przyjaciół. Cudny lament Deirdry nad ich zwłokami przetłómaczył pięknie
Samuel Ferguson.



**Dzieła z zakresu krytyki, estetyki, historii, literatury
i nauk społecznych i historycznych, wydane nakładem
Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie:**

	K.	Rb.
BRÜCKNER AL. Z dziejów języka polskiego. Studya i szkice. 8-ka, str. 136. Lwów — Warszawa 1903	1·50	—·65
DĘBICKI ZD. Ojciec nasz (Modlitwy wieczorne). Z ilustracjami Stanisława Dębickiego. 4-ka, str. 40. Lwów — Warszawa 1907	1·70	—·70
— Kiedy ranne wstają zorze. Poezye. 8-ka, str. 155. Lwów — War- szawa 1907	2·60	1·05
GAWROŃSKI-RAWITA FR. Studya i szkice historyczne. Serya II. 8-ka, str. 241. Lwów 1900	4·—	1·80
KISIELEWSKI J. A. Panmusaion. Szkice literackie. 8-ka, str. 208. Lwów— Warszawa 1906	3·20	1·30
— Życie dramatu. Szkice literackie. 8-ka, str. 436. Lwów—Warszawa 1907 4·60 1·85	4·60	1·85
KOSKOWSKI B. Gmina wiejska. Zarys samorządu w Królestwie Polskiem. 16-ka, str. 71. Lwów 1899	—·80	—·50
MILKOWSKI Z. Skarb Narodowy Polski. 8-ka, str. 211. Lwów 1905	2·50	1·25
NIESIOŁOWSKI T. Sny i widzenia. 8-ka, str. 130. Lwów—Warszawa 1907 1·70 —·70	1·70	—·70
POTOCKI J. K. Współzawodnictwo i współdziałanie. (Społeczeństwo jako organizm; Geniusz i tłum; Dobór miłosny — kobieta i męczyzna; Inne szkice. Wydanie nowe. Z portretem autora. 8-ka, str. 444. Lwów — Warszawa 1907	5·—	2·—
POTOCKI A. Szkice i wrażenia literackie. 8-ka, str. 316. Lwów 1903	4·—	1·60
— Stanisław Wyspiański. 8-ka, str. 150. Lwów 1902	3·—	1·50
— Marya Konopnicka. 8-ka, str. 94. Lwów 1902	1·50	—·60
— Wychowawcze zadania ogółu. Szkolnictwo francuskie od 1870—1895. Rok dziecięcy. 8-ka, str. 202. Lwów — Warszawa 1907	3·50	1·40
SYGIETYŃSKI A. Drobiazgi. Wydanie nowe. Z portretem autora i wstęp- em krytycznym Piotra Chmielowskiego. 8-ka, str. 220. Lwów — Warszawa 1907	2·60	1·10
SROKOWSKI K. Likwidacja caratu. 8-ka, str. 150. Lwów 1905	3·—	1·50
SZCZEPANOWSKI ST. Myśli o odrodzeniu narodowem. Pism i przemó- wień tom I. Wydanie drugie. Z portretem autora. 8-ka duża, str. 330. Lwów — Warszawa 1907	5·—	2·50
WASILEWSKI Z. Nowy Konrad. (Rozbiór Wyzwolenia Wyspiańskiego). 8-ka, str. 74. Lwów 1903	1·20	—·50

WASILEWSKI Z. (Przygodny). Warszawa współczesna w 12 obrazkach. 8-ka, str. 160. Lwów 1902	1·50	—·60
— Śladami Mickiewicza. Szkice i przyczynki do dziejów romantyzmu. 8-ka, str. III i 300. Lwów 1905	3·60	1·5
— Od romantyków do Kasprówicza. Studya i szkice literackie. 8-ka, str. 474. Lwów — Warszawa 1907	5·50	2·20
WIERZBICKI J. ST. Rapsody. Wydanie nowe. 8-ka, str. 82. Lwów—Warszawa 1907	1·—	—·40
WITKIEWICZ ST. Sztuka i krytyka. Wydanie trzecie. 8-ka, str. XXXI i 710. Lwów 1899. (Wyczerpane).	—·—	—·—
— Bagno. 8-ka, str. 80. Lwów 1903. (Na wyczerpaniu).	1·—	—·55
— Dziwny człowiek (Józef Siedlecki). Z portretem. 8-ka, str. 144. Lwów 1903	1·—	—·50
— Aleksander Gierymski. 8-ka, str. 191. Lwów 1903	2·—	1·—
— Juliusz Kossak. Studium. 8-ka, str. 288. Lwów 1906	3·60	1·80
— Na przełęczy: Po latach. Tatry w śniegu. Na przełęczy. Str. 144 i 296. Wydanie drugie powiększone. Lwów 1906	4·80	2·40

**Utwory Jana Kasprówicza,
wydane nakładem tegoż Towarzystwa:**

KRZAK DZIKIEJ RÓŻY. Poezye. Wydanie drugie zmienione. 16-ka, str. 248. Lwów — Warszawa 1907	3·60	1·80
WYBÓR POEZYI. 16-ka, str. 242. Lwów 1902. (Na wyczerpaniu).	3·—	1·50
BUNT NAPIERSKIEGO. Poemat dramatyczny. Z ilustracjami Stanisława Dębickiego. 16-ka, str. 3 nl. i 186. Wydanie ozdobne.	3·20	1·80
BAŚŃ NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ. Prolog na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie. 8-ka długa, str. 36. Lwów MCM	1·—	—·55
POEZYE. Wydanie nowe. 16-ka, str. 238. Lwów 1905	3·—	1·50

Tłumaczenia:

FRANCZESKA Z RIMINI, Gabriela d'Annunzio. Tragedya. 8-ka, str. 236. Lwów — Warszawa 1906	5·60	2·80
SIOSTRA BEATRYKS, Maurycego Maeterlincka. 8-ka, str. 52. Lwów — Warszawa 1907	2·—	—·80

W druku:

SALVE REGINA i MOJA PIEŚŃ WIECZORNA. Wydanie II i III.
POEZYE, tom II.



This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine is incurred by retaining it
beyond the specified time.

Please return promptly.

